Kraków, Rok I — Nr. 1. 1889.

Przedpłata wynosi:

w Krakowie:
rocznie . . . złr. 2·50
półrocznie . » 1·25

w Austryi pocztą:
rocznie . . . złr. 3·—
półrocznie . » 1·50

OGNISKO

organ uczącej się młodzieży polskiej.

Przedpłata wynosi:

w Niemczech pocztą:
rocznie . . mrk. 5·—
półrocznie » 2·50

we Francyi, Szwajcaryi, Belgii:
rocznie . . . fr. 6·—
półrocznie . . » 3·—

»Ognisko« wychodzi z początkiem każdego miesiąca. — Numer pojedyńczy kosztuje 30 ct. — Manuskryptów nie zwraca się.

Kwiecień.

Adres redakcyi i administracyi: Kraków, plac Dominikański L. 2. Ajencya w Krakowie w księgarni D. E. Friedleina, we Lwowie w Księgarni Polskiej, plac Halicki.

Zamiast Programu.

Upadek klas uprzywilejowanych i przenoszenie się środka ciężkości narodowej do nieuświadomionych mas — to treść naszych dziejów porozbiorowych. Powstania polskie były wytycznymi punktami tego procesu — dziś jesteśmy w jego chwili krytycznej. Klasy uprzywilejowane, same tylko mogąc odczuwać utratę praw politycznych, walczyły o nie dość długo, aż bezsilne zrzekły się uczciwej walki nakoniec. Pod wpływem racyonalnej nauki, straciwszy prawo moralne do społecznego przywileju, zdemoralizowały się jeszcze bardziej. Ciężka tęsknota do posady i orderu tam, gdzie wstęgi i ordery mogą nam jeszcze „spływać na sto piersi“, trwożliwe hasło s a u v e q u i p e u t! tam gdzie orderów już dawno nie dają, to aspiracye panów dzisiejszych. Protestów przeciwko położeniu „narodu“ z tej strony już niema i być nie może; „naród walczący o niepodległą Polskę od morza do morza,“ stał się dziś frazesem, którym w dobrej nieraz wierze, łudzą się rudymenty dawnego ustroju. Miąższ narodu — lud, często przeoczany lub fałszowany przez hasła patryotyczne, nie dorósł jeszcze do świadomości politycznych interesów — drzemie on tam, gdzie ma co trawić, i odruchowo tylko opędza się najbardziej dokuczliwym czynnikom wynarodowienia; gdzie nędza spać nie pozwala, tam ginie on bezsilny w niezorganizowanej, rozpacznej walce o kęs chleba. I z tej strony nie doleci bojowe hasło walki politycznej. Siłą tych faktów złożyła się tak często powtarzana formuła, że „dziś żaden trzeźwo myślący Polak o powstaniu nie marzy“. Pewne partye, których interesem jest spokój w kraju, by uzyskać dla siebie łaski w stolicy, czują całą bezpłodność dawnych haseł patryotycznych, to też pozwalają chętnie bawić się niemi tym ludziom, którzy haseł jakichś potrzebują, gdyż w ten sposób odciąga się ich uwagę od realnych interesów narodu, „niebezpiecznych“ dla tych partyi. Gdy porywy patryotyczne wciskały ojcom naszym oręż rewolucyjny, patryotyzm miał treść pełną siły męskiej i poświęcenia, dziś — stał się on dźwiękiem pustym, zbyt brutalnie szafowanym, by go czcić, zbyt chaotycznym, by go rozumieć.

Hasła pracy zrezygnowanej nie mogły ostać się długo. Głównym tego powodem była ich połowiczność. Powstałe z wycieńczenia, wyrosłe na gruncie, gdzie czyn i słowo są skrępowane, hasła te noszą dziwnie ułamkowy charakter. — „Przez pracę!“ głoszono, lecz dokąd? nie mówił nikt. Sama praca zbyt była zaniedbana u nas w porównaiu z zachodem, zbyt się to czuć dawało, więc też hasło pracy znalazło zwolenników. Impotencya polityczna zostawiła dla tej pracy jedyną podstawę — mieszczańską produkcyą kapitalistyczną. To też Kongresówka zaczęła odtwarzać w sobie piętna, znamienne dla Europy zachodniej; — garstka kapitalistów i masa proleteryatu wystąpiły na polskim gruncie, odsuwając na drugi plan typy dawniejsze: obywatela — szlachcica, chłopa i rzemieślnika. W brutalnej, mieszczańskiej walce o byt zamilkły motywy polityczne i wśród nędzy moralnej karyerowiczów zbankrutowała „organiczna praca,“ wątpiąc w dodatku, czy kiełkujący na jej gruncie socyalizm zaliczyć do swych aktywów czy passywów. Tak więc dawna „praca u podstaw“ stała się także dźwiękiem pustym — nie wypełnionym w swoim czasie odpowiednią treścią, przeto wyzyskanym przez pasożytów postępu.

Z umysłu pomijamy politykę Stańczyków, jako nie mającą nic wspólnego z myślą poprawienia losu narodu. Jest to mięszanina inercyjnych niczem, nieuzasadnionych pretensyj, z dziwnie giętkim serwilizmem.

Taką atmosferą oddychać musimy dziś my, pokolenie zrodzone po wypadkach 1863 r. Zamiast idej odżywczych, któreby utleniały krew naszą, i budziły silne, młode jéj tętno, pierś nam duszą zużyte prądy przeszłości, zepsute tchnienia Zachodu lub mroźne Wschodu powiewy. A nad tem wszystkiem unosi się ciemna, gęsta mgła szkolna, fałszowanych gwoli egoizmowi doktryn. To też odurzeni, szamotniemy się czasem w tanich demonstracyach, ściągając na siebie gromy i politowania, lub też w ciężką popadamy zadumę, skąd bezmyśl-

ność jest nieraz wyjściem jedynem. Wiemy o tem, jak mało przedstawiamy danych, nie na bohaterów już, jakbyśmy pragnęli, lecz wprost na rzetelnych pracowników, czego słusznie od nas żądać należy. Nie obcą jest piersi naszej gorąca, szczera chęć pracy dla społeczeństwa, zapewne zdobylibyśmy się nawet świadomie na ofiary, jakie składali nasi Kościuszkowie, Lelewele, Konarscy, Ściegienni, rwiemy się do jakiejś dźwigni potężnej i świętej — a do koła nie znajdujemy nic, czemu by się oddać można całą duszą myślącą. Pola otwarte przed nami — to albo nędzna karyera, albo praca szlachetna, lecz nie obmyślana jeszcze, wątpliwa. A pracy tej masa taka, tak wiele iście obywatelskich stanowisk nie zajętych, taki rozpaczny popyt społeczny, że drobna indywidualna podaż, na jaką stać jednostkę, wydaje się nam zwykle marną kroplą w morzu, a jednak krzywdą wielu prac innych, dla których taż sama kropla niezbędną..... Świadomości rzeczy, celów i środków, płodnej świadomości potrzeba, choć bolesnej, lecz jasnej. Inaczej siły nasze wykoleją się, iskra zapału zgaśnie, i miast pożytku szkodę społeczeństwu przynieść możemy.

Czy świadomość taką wyrobiły dla nas poprzednie pokolenia? Czy, normalne gdzieindziej, torowanie drogi w wytkniętym przez nich kierunku, jest możliwem? Czy siły moralne czerpać możemy w sformowanych przez nich ideałach? — Nic. — Walka zamarła, praca wyrodziła się w karyerę, na nowe drogi wchodzić musimy o własnych siłach. Sprawiedliwość dla jednostek, klas, narodu — to ostateczny daleki cel. Po spiętrzonych gruzach przeszłości, po śmieciskach i chwastach spółczesnych iść tam musimy sami, korzystając zaledwie ze szczupłych opisów gruntu jakie zebrała dla nas drobna lecz żmudna praca ludzi uczciwych.

Pokolenie starsze zrzeka się nieraz samo moralnego kierownictwa nad nami *).

Badać gruntownie smutny stan naszego społeczeństwa, poznawać rozmaite formy ustrojów społecznych, zapowiadające się na przyszłość wzamian dzisiejszych, zestawiać te formy ze stosunkami naszemi, — to obowiązek nasz tak konieczny, że zależy od jego spełnienia cała nasza użyteczność obywatelska. Będąc zmuszeni sami sobie formułować cele, sami sobie wyszukiwać środków, sami też zawczasu wziąć się do tego musimy.

Taką jest racya bytu „Ogniska.“

Młodzież polska przedstawia dziś żywioł smutnie różnorodny i w ogóle nie odpowiadający zadaniu, jakie historya wkłada na barki naszego pokolenia. Od genewskiego socyalisty, do krakowskiego „katolika“, od zrozpaczonego wywrotowca, do karyerowicza z bolesnej dlań samego zasady, od tromtadraty do stańczyka, — typy najrozmaitsze, jakby umyślnie zebrane z różnych miejsc i epok, — wszystko to spotkać można u nas, wśród ludzi stosunkowo uczciwych, pragnących naprawdę pracować dla społeczeństwa. Poza tem całe rzesze ludzi ciemnych, bezmyślnych, o drewnianej piersi, ludzi często niezdolnych nawet do ziszczenia jedynego swego ideału — posady. Niejednolitość między uczciwszą, niezależniejszą duchowo młodzieżą jest u nas rzeczą złowróżbną, gdyż wywołaną jest ona brakiem szerszych i gruntowniejszych badań, trudnych co prawda dla młodzieży, lecz w naszych warunkach — niezbędnych. W najlepszym razie żyjemy doktrynami, których ani należycie motywować, ani zestawiać z rzeczywistością nie umiemy. W podniesieniu naszego poziomu umysłowego ważną rolę odegrać może i powinna wzajemna pomoc w samokształceniu. Gdyby rezultatem starcia się zdań rozmaitych typów młodzieży było li tylko wzajemne poznanie siebie, mielibyśmy już racyą wzywać młodzież do oceny zjawisk społecznych, do zestawiania swych myśli i uczuć. Chcemy przeto głosów młodzieży w rozmaitych sprawach, dotyczących ogółu, do którego wkrótce jako czynni obywatele wejdziemy. Nie mamy pretensyi do rzucania zdań swych na szalę bieżących wypadków — żadnem s t r o n n i c t w e m nie jesteśmy jeszcze, zdania nasze przeznaczamy dla s i e b i e przedewszystkiem. Drogą szczerej dyskusyi nad objawami bytu naszego społeczeństwa, dyskusyi możliwie poważnej, wyrabiać musimy zdania nasze dla samych siebie tymczasem. Młodzież przedewszystkiem kształcić się powinna, my też chcemy pozostać w zakresie szkoły, ale szkoły niezależnej od żadnych względów prócz nagiej prawdy.

Taką treść dać pragniemy „Ognisku.“

Wzywając całą uczciwą młodzież do współudziału w naszem piśmie, nie chcemy przeto, żeby nosiło ono barwę tak pstrą i niepełną, jaką mieć może mięszanina pojęć dzisiejszego jej ogółu. Tembardziej nie wyczekujemy programu dla naszego pokolenia od jakiegoś kompromisu, jakiejś średniej arytmetycznej z dzisiejszych naszych poglądów. Przedewszystkiem rezultat taki nie miałby realnego gruntu pod sobą. Nie rozwijamy polityczno-społecznych programów, które by streszczały przyszłą naszą działalność obywatelską, bo nie stać nas jeszcze na to. By jednak program taki złożył się z czasem, zbierać i porządkować będziemy materyał do niego. W ten sposób sami kształcić się będziemy, i nawoływać innych do samokształcenia, by rozwiać mgły ciążące nad nami i odpłoszyć od siebie ogłuszających nas puszczyków. Stanowisko, jakie tu już obecnie zająć możemy, sprowadza się do bardzo niewielu ogólnych punktów, etycznego przeważnie charakteru.

*) Patrz „Kraj“ 1887 r. Nr. 17 str. 2. (Obietnica p. Spasowicza dotychczas niewypełniona).

W myśleniu naszem opierać się usiłujemy na metodach ściśle naukowych, doświadczalnych, wykluczając wszelkie dogmaty i objawienia *).

Pod względem ekonomicznym uznajemy, że własność li tylko do pracy osobistej należeć winna.

Pod względem społecznym nie uznajemy żadnych przywilejów rodowych czy kastowych, żadnych praw patronatu człowieka nad człowiekiem, klasy nad klasą.

Pod względem politycznym uznajemy równe prawa wszystkich narodowości do wszechstronnego rozwoju sił swoich na podstawie im właściwych czynników socyologicznych, jak: terytoryum, gospodarka, tradycye, wierzenia, zwyczaje, język.

W pierwszej zaś linji pragniemy zniesienia wszelkich kategoryj podległości w naszym własnym kraju, w Polsce etnograficznej, bo z nią wiążą nas silnie nasze sympatye i interesy.

Nie łudzimy się ani na chwilę, by przedsięwzięta praca była tak lekką, jak nieobowiązujący nikogo frazes. Wierzymy jednak, że przy szerszym współudziale towarzyszy, przyniesie ona pożytek przyszłym obywatelom kraju. Od ludzi dojrzałych i wytrawnych przyjmiemy chętnie ocenę naszych poglądów; wdzięczni zawsze będziemy za sumienną ich krytykę, wymagamy jednak, aby nas przekonano przedtem, nim ktoś od nas ustępstw zażąda.

Pragnieniem jest naszem, by „Ognisko“ było organem całej młodzieży polskiej. Praktyczne jednak względy każą nam zapewne ograniczyć się do gruntu galicyjskiego, gdzie młodzież ruska, o ile tylko sama zechce, na równych prawach z polską głos będzie zabierać.

Oficyalnych „występów na zewnątrz“ nie uznajemy za najcenniejszą perłę i źrenicę naszej „złotej wolności.“ Gdzie jednak chodzić będzie nie o popisowy frazes, lecz o obronę realnych interesów młodzieży, tam zawsze znajdziemy się po jej stronie.

Redakcya.

SPRAWY MŁODZIEŻY.

Krakowska młodzież akademicka.

Z pośród wielu zagadnień życia najtrudniejszem może jest trafne i bezstronne poznanie zdolności i sił własnych, zadania, które się ma spełnić, celu. do którego winno się dążyć, i środków, jakich najskuteczniej użyć należy. Zrozumieć własne dążności i aspiracye, uświadomić je w swym umyśle, znaleść dla nich realny wyraz, pójść drogą nie tyle najkrótszą, ile najprostszą i najjaśniejszą, a po długich mozołach i wysiłkach osiągnąć nareszcie to, co było bodźcem do pracy i walki, gwiazdą przewodnią a nawet treścią życia, oto zagadnienie, które każdy człowiek ma do rozwiązania, bo od tego zależy zazwyczaj jego powodzenie w pracy, zadowolenie wewnętrzne i wielka wartość dla innych z pracy jego korzyść odnoszących.

Tak, to istotnie zagadnienie najtrudniejsze a nienależyte jego rozwiązanie sprowadza najsmutniejsze następstwa, bo zwątpienie we własne siły, zniechęcenie i pessymizm.

Tych kilka luźnych uwag nasunęło mi życie nasze, jako młodzieży akademickiej, a to z powodu, że nie rozwiązaliśmy dotychczas wyżej wskazanego zadania.

Rzecz dziwna i smutna zarazem, że my jako młodzież, którą łączy wspólność narodowości i wykształcenia uniwersyteckiego, nie tworzymy zgoła organicznie spojonej całości, że nie ożywia nas żadna myśl wspólna, że nie mamy żadnych wyraźnych i określonych ideałów, że pogrążyliśmy się po uszy w zadziwiającej apatyi, z której zda się nic nas już obudzić nie zdoła.

Kto wie, czy przyczyną tych smutnych objawów nie jest właśnie przecenienie czy niedocenienie reprezentowanej przez siebie wartości, fałszywy wybór celu, jakoteż prowadzących do niego środków, a więc nieznajomość siebie samego i brak uświadomienia w umyśle przyrodzonych warunków?

Chcąc to wszystko radykalnie usunąć, trzeba koniecznie wyjść ze zasady: poznaj siebie samego, abyś wiedział co posiadasz a czego ci brakuje, do czego jesteś zdolny a czego nie potrafisz, co nareszcie jest twojem zadaniem i twoim celem.

Tą kierując się zasadą postaram się w krótkim szkicu scharakteryzować nasze życie akademickie, ilustrując je przykładami, wziętemi z naszych stowarzyszeń, oraz wykazać niekorzystne warunki, wśród których się znajdujemy, nie tyle dla usprawiedliwienia siebie samych, ile dla odkrycia źródła złego, które nas tak uporczywie trapi.

Przeszłość człowieka pozwala nam dokładniej zrozumieć jego istotę oraz źródło jego zalet czy też wad. To też zapewne będzie rzeczą stosowną zapytać się o przeszłość naszej młodzieży akademickiej, chcąc wykryć nieprzyjaciela, z którym pragniemy walczyć.

Każdy zanim może się dostać na uniwersytet, musi niestety przejść przez piekło galicyjskiego gimnazyum, i przekonać się osobiście o jego złym stanie i o fakcie, że zupełnie nie odpowiada swemu zadaniu. Plan nauk jest z gruntu fałszywy, bo jako zabytek wieków średnich za wielki kładzie nacisk na studya klasyczne a za mały na przyrodnicze. Było to dobre kiedyś w czasie rozkwitu humanizmu, ale nie dziś, gdy wszelki postęp zawdzięczamy wspaniałemu rozrostowi i rozpowszechnieniu się nauk przyrodniczych. Zauważmy w dodatku, że gimnazya wcale nie osiągają zamierzonego celu, to jest owego tak wysławianego wykształcenia humanitarnego. Stwierdzono niejednokrotnie, że na trzydziestu uczniów szkół średnich najwyżej sześciu opuszcza je wynosząc to wszystko, czego nauczyć się byli powinni, reszta zaś nie zdobyła ani obiecanego wykształcenia humanitarnego ani też tego, co jest cenniejsze a co winno być właściwym celem szkół średnich, to jest rozwoju wrodzonych zdolności umysłowych i ich pomnożenia. Jedynym, po-

---

*) Jakkolwiek dziwną może się wydać tak anachronistyczna emancypacya myśli z pod cudu, ze względu jednak na galicyjskie warunki, dodatek ten wcale nie jest zbytecznym.

zytywnym rezultatem, osiągniętym przez nasze gimnazya, jest prawdziwa nędza umysłowa większości, wchodzącej na uniwersytet.

Obok tej nędzy umysłowej wynosi ze sobą gimnazyalista i nędzę fizyczną lub przynajmniej zupełnie wystarczające do niej przygotowanie. Wiadomo bowiem, że gimnazya nasze są wzorem niehygienicznie zbudowanych i urządzonych budynków szkolnych, obliczonych na najprędsze i najskuteczniejsze zrujnowanie zdrowia i sił młodzieży. Nie są wprawdzie gimnazya jedyną przyczyną naszej nędzy fizycznej, ale obok innych odgrywają rolę wcale wybitną i rozstrzygającą.

Stawszy się więc nędzarzami umysłowymi i fizycznymi, wchodzimy na uniwersytet niezdolni do należytego zrozumienia — nie powiem już przyjęcia — studyów uniwersyteckich, które rozpoczynamy bez żadnego prawie planu z góry ułożonego i bez żadnych wskazówek. Wiemy wprawdzie, jakie przedmioty obowiązują nas podczas tego lub owego kursu, wiemy, jakie są wymagane przy egzaminie lub rygorozum, ale nikt nam nie powie, jak to pojedyncze przedmioty jednej gałęzi wiedzy łączą się organicznie w pewną całość, dlaczego i o ile z innemi stoją w pewnym bliższym lub dalszym związku. To pomijają nasi profesorowie, uważając widocznie za rzecz zbyteczną.

Tymczasem studya fachowe bez głębszej myśli podjęte nie budzą w nas zapału, ani też zamiłowania. Praca dorywcza, jednością planu i myśli nie pogłębiona, nie ma dla nas uroku i powabu, traktujemy ją więc z lekceważeniem.

Na tem jednak nie koniec. Do dwóch wyżej wymienionych nędz, umysłowej i fizycznej, przybywa jeszcze trzecia, równie straszna — nędza materyalna, która jest przyczyną tak wielkiego złego, że go na razie i obliczyć trudno.

Pierwszym tej nędzy skutkiem jest praktyczny materyalizm naszej młodzieży uniwersyteckiej. Wszelkie idealne popędy ustępują na plan drugi, a chęć jak najprędszego zdobycia choćby lichego kawałka chleba jest pobudką kierującą.

Pod tym względem rozpadamy się na trzy grupy, lecz nim podam ich cechy, muszę się zastrzedz, że podział ten nie jest wyczerpujący, nie obejmuje całej młodzieży, nie jest wyrazem całkowitej prawdy. Znajdą się bowiem nieliczne wyjątki, których nie będzie można do tych grup zaliczyć. Nie mniej jednak na ogół biorąc dają one obraz dość wierny.

Pierwszą stanowi na szczęście bardzo niewielka garstka potomków arystokratycznych rodów, lub też panoszących się dorobkiewiczów, którzy złączeni pomyślnem stanowiskiem finansowem i formami towarzyskiemi, stoją zupełnie na uboczu i tworzą zamknięty klub, którego hasłem na zewnątrz jest „Bóg i Ojczyzna“ a na wewnątrz — charłactwo fizyczne, pustość umysłu i moralna zgnilizna. Ci żadnych stosunków z resztą nie utrzymują, aby nie splamić swych rękawiczek dotknięciem się szorstkiej dłoni demokratycznej.

Drugą a najliczniejszą, bo przeszło 50% wynoszącą grupę stanowią ci, których można określić mianem biedaków. Własnym zostawieni siłom a częstokroć zmuszeni jeszcze ubogiej pomagać rodzinie, marnują swą młodość na lekcyach, guwernerkach oraz pisaninach u adwokatów i w urzędach. Nie mają oni czasu ani ochoty chodzić na wykłady lub studyować sumiennie Szczęśliwi, jeżeli mają co zjeść i czem się okryć, idealne popędy muszą zostawić jako nieproduktywną zabawkę innym; nie dla tego, aby nie byli do nich zdolni, lecz z tego powodu, że idealne popędy rzadko tylko i wyjątkowo chodzą w parze z głodem i lichwiarskiemi długami.

Trzecią nareszcie i ostatnią, stosunkowo dość liczną, stanowią średnio zamożni akademicy, którzy mają środki na utrzymanie i prowadzenie studyów. Wśród nich można dwa odróżnić odcienia.

Jedni, zazwyczaj stawiani reszcie jako wzór do naśladowania, są gorliwymi wyznawcami hasła pracy organicznej, uczęszczają pilnie na wykłady, przesiadują w laboratoryach, seminaryach i klinikach; ich celem bliższym są demonstratury, asystentury oraz wszelkiego rodzaju synekury, dalszym zaś — docentury, katedry uniwersyteckie pojęte w znaczeniu dojnych krówek, wogóle korzystne i intratne w społeczeństwie stanowiska.

Drudzy zaś, najwięcej do ideału akademika zbliżeni, a jednak tak niestety zazwyczaj od niego dalecy, zdolni i inteligentni, pracują sumiennie i dostatecznie. Średnio biorąc wolnomyślni, reprezentują żywioł postępowy. Oni to głównie biorą czynny udział w stowarzyszeniach akademickich, wszystko więc, co się do nich odnosi, dotyczy bezpośrednio drugiej części grupy ostatniej.

Oto skład młodzieży uniwersyteckiej krakowskiej.

Z tego wyżej opisanego stanu wypływa kilka bezpośrednich skutków.

Grupa pierwsza z zasady świeci nieobecnością w audytoryach. Czy ma co na swoje usprawiedliwienie? Druga zmuszona walczyć o chleb powszedni, nie chodzi wcale lub tylko niewiele na wykłady. Z tego powodu profesorowie nasi choćby chcieli, nie mogą z całą surowością przestrzegać przymusu pilnego uczęszczania na nie, bo odmawiając, jak to czynić powinni, test, uniemożliwiliby wprost całej masie studya uniwersyteckie, a tem samem wpędziliby ją w ostatnią nędzę. Profesorowie patrzą więc na puste ławki przez palce, a fakt ten demoralizuje i innych, mogących na wykłady bardzo pilnie uczęszczać.

Za tym smutnym faktem idzie inny, a mianowicie łagodne egzaminowanie rygorozantów, którzy nie mogliby przejść cięższej próby, a to wskutek słabego rozwoju umysłowego, wyniesionego ze szkoły średniej. I jakżeby wobec tego profesorowie mogli surowo egzaminować studentów, wiedząc, że ci nie są w stanie chodzić na wykłady a nie mają innych wyższych zakładów fachowych, do którychby się przenieść mogli. Tą drogą, jakoteż drogą anormalnego rozwoju grupy trzeciej, wyrabia się wśród wielkiej części lekceważenie przedmiotu, studyów i egzaminów, a rok rocznie opuszcza uniwersytet gromada umysłowych proletaryuszów, którzy i w życiu obywatelskiem uprawiają praktyczny materyalizm, by sobie zapewnić jaką taką egzystencyą. W ten prosty i łatwy sposób wyradza się lekceważenie nauki i poważnej wiedzy a wkrada płytkość i blaga. Na tak przygotowanym gruncie powstaje dotkliwy brak wszelkiego ruchu umysłowego, wyrabiających się i ścierających przekonań, brak poważniejszych dyskusyi, z którychby mogła i powinna wyniknąć obopólna korzyść, nauka lub nawet porozumienie. Brak ten jest tylko objawem dziwnego i niezrozumiałego wstrętu, jaki w większości żywimy do zajmowania się poważniejszą lekturą. Zarzut ten niestety jest zupełnie uzasadniony, bo wiemy wszyscy aż nadto dobrze, że n. p. z biblioteki Czytelni akademickiej najwięcej pożyczane są powieści lub wogóle dzieła o treści łekkiej, belletrystycznej, a do najbardziej poczytnych dzienników należą humorystyczne polskie, niemieckie lub francuskie. Lektura tego rodzaju umysłu nie kształci, nie wzbogaca, zakresu pojęć nie powiększa, a co najgorsza, zgoła do myślenia nie pobudza. Przy

takich warunkach nie może się wcale wytworzyć zdrowa, rozsądna krytyka, będąca podstawą wszelkiego rozwoju umysłowego, ani też nie mogą się wykształcić przekonania w kierunku filozoficznym, społecznym, narodowym, czy nareszcie religijnym.

Wśród nas, jako młodzieży, można na palcach u obydwóch rąk policzyć ludzi mających jasne i określone, choć może nie zawsze zupełnie wyrobione przekonania, których mniejwięcej są świadomi, które opierają na pewnych podstawach, których potrafią logicznie i konsekwentnie bronić. Reszta właściwie przekonań nie ma, choć pozornie w znacznej większości jest postępowa i niezależna; lecz niezależność ta jest więcej odczuwana niżeli rozumiana, więcej jest wypływem wrodzonej młodzieńczemu wiekowi krewkości, niżeli owocem długich rozmyślań i pracy umysłowej. Jestto krzew egzotyczny, który bujnie się rozrasta, lecz nie zapuszcza głębokich korzeni, to też burze życiowe, przez które niemal każdy przechodzi, wyrywają go bez trudności, a młodzieniec o gorącem sercu i burzliwej głowie staje się wkrótce spokojnym filistrem, czcicielem złotego cielca, człowiekiem bez zasad i bez przekonań.

Ciasne i nienaukowe pojęcie studyów fachowych, ograniczenie się do tego, co niezbędnie potrzebne przy egzaminach i rygorozach, brak zamiłowania do specyalności, wszystko przyczynia się do tego, że akademik krakowski skończywszy uniwersytet staje się rzemieślnikiem, który potrafi licho lub poprawnie, zależnie od zdolności, wykonać pracę, wchodzącą w zakres jego fachu, ale nigdy człowiekiem, któryby objął umysłem całokształt zjawisk świata materyalnego czy duchowego, któryby rozumiał swoje obowiązki jako męża, ojca, wychowawcy, pedagoga a zwłaszcza obywatela. Wszystko to jest dla niego zupełnie obce, a co gorsza, zupełnie obojętne.

I stąd to prawdopodobnie wynika, że brak nam w ogóle ludzi wykształconych, brak nam fachowców, że nie wytworzyliśmy rodzimej wiedzy polskiej, że w upadku przemysł, handel, rolnictwo, że mało mamy dobrych lekarzy, sędziów, nauczycieli.

Tu może mnie spotkać pozornie słuszny zarzut przesady w krytykowaniu wadliwych stosunków.

— Wszakże posiadamy kilka naukowych stowarzyszeń, publiczne i prywatne seminarya, a nawet w samej czytelni jest kilka kółek naukowych, jak słowiańskie, filozoficzne a nawet literacko-dramatyczne (?). Tam pracujemy poważnie, uczymy się myśleć, zapoznajemy się z metodami naukowemi i najnowszym stanem wiedzy.

Chciałbym uniknąć stronniczości i niesprawiedliwości, zdaje mi się jednak, że wszystkie te usiłowania mają taką samą wartość.

Głównym, zasadniczym błędem tych kółek jest ich podstawa, na której się opierają a która powiada, że celem ich jest urządzanie o d c z y t ó w p o p u l a r n y c h w kwestyach filozoficznych czy literackich, stosownie do nazwy kółka.

Nie wyobrażam sobie nic nad ten cel komiczniejszego, bo zdaniem mojem zrobienie odczytu wymaga nietylko dokładnego opanowania danego przedmiotu, ale i poznania przedmiotów jemu pokrewnych; tymczasem my powinniśmy się dopiero uczyć tego wszystkiego, czego drogą odczytów chcemy uczyć innych. Oprócz tego znanym jest faktem, że popularyzowanie wiedzy jest jedną z rzeczy najtrudniejszych, że wymaga ogromnej nauki, wprawy, a nawet osobnego, wrodzonego niemal talentu.

Wszystko to jest dla nas uczących się dopiero rzeczą stanowczo niedostępną i niemożliwą. Ponieważ zaś tych olbrzymich na każdym kroku nastręczających się trudności, których nawet nie widzimy, zgoła pokonać nie możemy, uciekamy się do pozorów, do blichtru, do błyszczącej ale pustej blagi, okłamujemy siebie i drugich — przekonani, że spełniamy wielkie zadanie sumiennej pracy.

Nie ma w tem zresztą nic dziwnego, bo czem człowiek mniejszą posiada wartość fizyczną, moralną czy umysłową, tem większe stara się nadać sobie pozory, aby się zdawało, że przecież jest coś wart.

Ta blaga właśnie jest tak stałą cechą naszego życia akademickiego od lat kilku, że innej formy nie wyobrażamy sobie zgoła i nie zadajemy sobie trudu odszukania jej. Analogicznie do ruchu umysłowego w kółkach i w Czytelni musiały też wszelkie występy nasze na zewnątrz nosić piętno blagi

Młodzież, która nie myślała samodzielnie, żadnych przekonań ani idei wytworzyć nie była w stanie, żadnych programów stworzyć nie może. Reprezentant jej musi więc w jej rzekomo imieniu wypowiadać przekonania indywidualne lub złączonej z nim wspólnością myśli garstki kolegów.

Ogół młodzieży ogranicza się do przyjęcia hucznym oklaskiem programu, którego wartości nie jest w stanie ocenić.

Tak więc rzekomy program młodzieży i rzekome jej przekonania były tylko jednem więcej kłamstwem konwencyonalnem a blaga wewnętrzna musiała zrodzić blagę na zewnątrz. Zasada ta, jak wypłynęła z życia młodzieży, tak na odwrót ujemnie na nie oddziałała. Rozkładowy jej wpływ odbija się na upadku koleżeństwa i dziwnej politykomanii.

Rozpadamy się w Czytelni na przeciwne sobie i wrogie stronnictwa, ścierające się ustawicznie przy każdej nadarzonej sposobności, używające przeciwko sobie wszelkiej a więc nie zawsze uczciwej a prawie zawsze niekoleżeńskiej broni. Wynikiem tego jest obopólne a wielce gorszące roznamiętnienie i towarzyszące mu osobiste nieporozumienia. Jużto wogóle całe nasze życie akademickie nosi na sobie brzydkie piętno nieustających zatargów i niesnasek osobistych. Stronnictwa nasze nie reprezentują żadnej idei, żadnych przekonań; są to poprostu zbiory ludzi o najsprzeczniejszych przekonaniach, których w pewną luźną, organicznie niespojoną całość, łączy czasowo ta lub owa wybitniejsza jednostka. Ustawicznie więc obracamy się w ciasnem i błędnem kole zawiści osobistych i koteryjnych, marnujemy drogi czas na podjazdowej walce stronniczej, wynosząc pustkę, łatwo zrozumiałe zniechęcenie do wspólnego życia, i nigdy zaściankowością spętana myśl nasza nie obejmie szerszych widnokręgów, nie stworzy obszerniejszych horyzontów.

Po roku lub najwyżej dwóch latach takiego nieproduktywnego życia wycofujemy się zazwyczaj z tak pożytecznej w zasadzie instytucyi, jaką jest Czytelnia, zostawiając pole do popisu młodszym i nielicznej garstce starszych, którzy rozumiejąc znaczenie czytelni, zrósłszy się z nią zresztą zbyt ściśle, postanawiają wytrwać na stanowisku usque ad finem.

Rozumie się, że w takim stanie rzeczy, gdy rozpadamy się na odosobnione i nie znające się prawie grupy, gdy urodzenie i stanowisko majątkowe powiększa istniejący między nami rozdział, gdy dziwna politykomania doszła do szczytu rozwoju a starsi stale i konsekwentnie usuwają się od życia, rozumie się powtarzam, że nie może być nawet mowy o koleżeństwie. Wzniosła prawdziwie humanitarna idea koleżeństwa, oparta na wzajemnej ufności i wyrozumiałości, na wspieraniu się

moralnem i materyalnem, na życzliwości, sympatyi a nawet na przyjaźni, idea ta, którą każdy z nas czuć i rozumieć powinien, jest dla nas niemal obca i tylko na bezdźwięcznym frazesie oparta. Jak długo będzie trwał ten stan nie naturalny, bo z odwieczną prawdą niezgodny, tak długo będziemy tylko luźną, niespójną zbieraniną ludzi obcych sobie a częstokroć nawet wrogich.

Tu koniec mej jeremiady.

Na razie jestem zupełnie zadowolony, jeżeli zdołałem wykazać, że powinniśmy wszyscy zrozumieć, iż miasto rozpraszania sił w podejmowaniu tysiącznych planów, z których tylko jedna setna dojrzewa i skutek osiąga, miasto pustej blagi i zamiłowania w pozorach tego, czem nie jesteśmy a co więcej być nie możemy, że miasto tego wszystkiego winniśmy wziąć się do sumiennej i spokojnej pracy, która z pewnością zaprowadzi nas wszędzie, dokąd tylko zwrócimy się z energią i wytrwałością, ale już odpowiednio przygotowani.

Mam nadzieję, że artykuł ten wzbudzi pewne zainteresowanie, wywoła krytykę i dyskusyą; nie wątpię, że wskutek tego będziemy w stanie wydrukować w szpaltach naszego pisma nie jeden artykuł o tej samej kwestyi traktujący. Gdy tak rzecz wszechstronnie zostanie wyczerpana, postaram się skreślić ideał akademika i życia akademickiego, oraz postawić pozytywny program na przyszłość.*)

W. S.

Wady młodzieży akademickiej **)

opisuje

Dr. Felix Koneczny.

Pisać do pierwszego numeru jakiegokolwiek pisma jest rzeczą ciężką, jeżeli się nie było przy jego genezie, a cóż dopiero do pisma, opartego o żywioł tak ruchliwy, a pomimo to tak niezdecydowany, nieokreślny, jakim jest nasza młodzież akademicka. Ale zachęca do tego prospekt „Ogniska", uderzający — brakiem frazesów; nie szumi zeń furkot chorągiewek, mniemanych sztandarów, niema tam zapewnień, zaklinań itp. — prosty a skromny i przez to właśnie poważny, robi wrażenie, że tu się gromadzą ludzie dobrej woli do pracy — przedewszystkiem nad sobą.

Mieliśmy już w Krakowie trzy pisma zwane akademickiemi, z których żadne się nie utrzymało z tej prostej przyczyny, że nie zdołało stać się naprawdę akademickiem; nie pałające żądzą nawracania społeczeństwa „Ognisko", nie bijąc w dzwony na jakąś nową resurrekcyą ludzkości ze snu w nią wmawianego, dłońmi, z których co dopiero wypadła gramatyka szkolna — ani też nie popadając w drugą ostateczność: unikania wszystkiego, co psuje zabawę, może się bardziej zbliży do ideału pisma akademickiego.

Mojem zdaniem — pismo nasze musi się w zasadzie zapatrzeć na Uniwersytet. Jak w wykładach chodzi głównie o nabycie zdolności krytycznej — bo resztę za jej pomocą młodzież (jeżeli się uczy) sama ma osięgnąć, tak też w przygotowaniu się do życia obywatelskiego tej drugiej, a opartej na tamtej, części „akademii", należy się starać wszelkiemi sposobami o nabycie zmysłu krytycznego, do tego stopnia, że wobec tego zadania wszelkie polityczne i społeczne zapatrywania i wiążące się z tem sprawy winny zejść na plan daleki. Gdy zmysł krytyczny posiądziemy, będziemy pożytecznymi obywatelami — bez tego, wszystko inne jest złudzeniem! U człowieka, pozbawionego krytycznego zmysłu — wszelkie jego zasady, poglądy (prócz religijnych) na tyle się zdadzą, o ile trzcina chwiejąca się od wiatru, przydatną jest czasem budowniczym. Można silnie wierzyć w jakieś zapatrywania i dać się za nie zabić, nie wiedząc o co chodzi; taka ślepa wiara może ujść w szerokich warstwach narodu, ale ludziom, którzy przechodzili przez uniwersytet, nie zaszczyt, ale hańbę przynosi. Rodzi ona doktrynerów, tém niebezpieczniejszych, jeżeli „uczonych". Ciągnąc za sobą liczne szeregi „młodszej braci" — bodaj i dzisiejsze pokolenie akademickie nie nałożyło na nasze dzieje nowej warstwy ślepego doktrynerstwa!

Krytyka jest trucizną na doktryny, tak w nauce, jakoteż w życiu czynnem. Krytyce poświęcajmy jak najwięcej czasu! Ale pamiętajmy, że krytyka nie polega na tem, żeby na wszystko krzyczeć i wszystko zakrzyczeć — przeciwnie, jestto sztuka lubiąca ciszę, krytykowi też spokój do twarzy. Krytyki nie nauczy się nikt na targu w dzień wyborów, ani z numeru polemizującej gazety; jak wszystko, tak też i rozbudzenie krytycznego zmysłu wymaga pracy ad hoc.... systematycznej. Tego systemu pierwszym postulatem jest stare a dobre prawidło: rozpoczynaj krytykować od samego siebie!

Stąd rzecz o wadach i zaletach naszej młodzieży. Od wad rozpoczynam dlatego, że to będzie gorsze do czytania, ale w pierwszych numerach, przy rozbudzonej ciekawości, może znaleść czytelników; o zaletach i później chętnie przeczytają.

Jeszcze słówko dla uniknięcia nieporozumień. Będę pisał o wadach porządnych i poczciwych ludzi, o takich tylko, które nie uwłaczają charakterowi. Te tylko dotyczyć mogą ogółu młodzieży.

Manija do epok.

I. Epoka, okres, era itp., to rzecz bardzo względna i w niejednakich czasach można ich zmieścić tę samą ilość. W życiu jednodniówki każda napotkana w locie zakopcona lampa będzie epoką! Czem więcej zjawisk ktoś obejmuje, tem mniej skłonnym jest przyznać któremu z nich epokowe znaczenie. Jak się ma rzecz z tą kwestyą naszej młodzieży?

Młodzieniec, wstępujący na uniwersytet, w naszych stosunkach, niestety — rzadko nawet dwudziestoletni, w krótkim przeciągu czasu liczy sobie już kilka epok życia. Pierwsza nauka, oddanie do szkół, opuszczenie domu rodzicielskiego, początek walki o byt, zrobienie jakiej znajomości, przeczytanie jakiej książki, wywierające nieraz wpływ na całe dalsze życie, śmierć rodziców itp., a nareszcie wyzwolenie się z pod nadzoru szkoły i starszych, to są fakta w życiu jednostki, rzeczywiście epokowego często znaczenia, którego im się i w późnym wieku jeszcze nie odmówi, a wszystkie one mieszczą się na małej przestrzeni kilkunastu lat! A ileż u zdolnych młodzieńców zmian moralnych i umysłowych w tym krótkim czasie się zmieści! Co za różnica, kiedy się miało lat 8, 15 a 18! Ileż cenionych przedtem rzeczy wartość straciło, ileż nieznanych przedtem oceniło się lub pokochało! Późniejsze lata będą już mniej obfite w te zmiany, a te, które jeszcze nastąpią, będą się znacznie wolniej dokonywały. Zmniejszy się — że się tak wyrażę — możliwość epok w na-

---

*) W myśl swego programu redakcya chętnie otwiera łamy pisma wszystkim kolegom i nie-kolegom; chcącym zabrać głos w danej sprawie.

**) Redakcya zastrzega sobie głos celem omówienia tego artykułu.

szem życia. Wychodząc z gimnazyum jesteśmy atoli przyzwyczajeni do szybkiego ich następstwa, a na dobitkę — jesteśmy właśnie pod wrażeniem nowej „epoki“.

A z jakimż umysłem wchodzi się na uniwersytet? Niemal u wszystkich zdolnych uczni uniwersytet w pierwszych semestrach zawodzi nadzieje. Jest się w gorączkowem oczekiwaniu rewolucyi w własnej istocie swéj takiéj, że najlepiej dobrane grono professorów jest tu niczém, bo marzenia początkującego akademika mogłoby spełnić chyba tylko bezpośrednie zesłanie Ducha św. Zwolna dopiero nabywa się świadomości, w jakito sposób można naprawdę korzystać z wykładów i pracowni akademickich, a dopiero klucz do nich znalazłszy, nabywa się stopniowo tę, tak wielkiéj dla społeczeństwa doniosłości maxymę: ziarnko do ziarnka, a będzie miarka. Z początku żąda się odrazu całej „epoki“!

Gorączkę tę zwiększa czasem życie w obrębie małej akademickiéj Rzeczypospolitej, gdzie nigdy nie brak burz w szklance wody. Brak należytej ciągłości w polskich stowarzyszeniach akademickich, skutkiem usuwania się starszych kolegów, sprawia, że każdy może, czasem nawet musi, rozpoczynać *ab ovo*, jak gdyby stowarzyszenie poczynało dopiero istnieć; wyjątkowo chyba tylko każdorazowy wybór prezesa nie tworzy nowej „epoki“ w „rozwoju“ instytucyi (a tymczasem rozwój zawisł właśnie od ciągłości)! A gdy akademik otrze się o sprawy publiczne, nie dziw, że to uważa znów za nową epokę w swojem życiu. Co się zaś spraw samych tyczy, on ich nie zna, pierwszy raz dopiero do nich zagląda, nie ma ani czasu, ani sposobności objąć ich całości, pierwszą lepszą z brzegu, do której go przypadek przyczepił, uważać skłonny za centrum i punkt ciężkości wszystkiego. Najdrobniejsza sprawa, przygodny jakiś komitet, o którym za rok wszyscy zapomną, rośnie w oczach komitetowego i jego wyborców do znaczenia niemal dziejowego faktu. Wszystko jest nietylko ważnem (bo na to zgoda), ale zarazem wielkiem i doniosłém; do wszystkiego przystępuje się z namaszczeniem (i na to też zgoda), ale zarazem oczekując z każdej drobnostki jakichś dalszych następstw dla sprawy publicznej. Nie przeczuwa akademik, że sprawy publicznej nawet mu nikt nie pokazuje, a tem mniej do współudziału przyzywa; że to, w czem bierze udział, to same bagatelki, obojętne najzupełniej w bilansie narodowym. Sądzi z pozorów, że się obraca wśród samych doniosłych spraw, które przynajmniej wszystkie razem wzięte, z pewnością złożą się na „epokę“. A jeżeli dołączy się do tego pierwszy chrzest dziennikarski, następuje oszołomienie — i niema w tém nic dziwnego. Cóż dopiero, jeżeli stanie się współpracownikiem jakiejś gazety! Rośnie w oczach kolegów, jakżeż niema róść we własnych?! Mąż w kwiecie wieku znakomity! On nie przeczuwa, że redakcya tylko ze względów oszczędności łapie niepełnoletnich współpracowników; zdaje mu się, że wybitne zdolności i rozum wytrawny powołały go na tak „poważne“ „wpływowe“ „zaszczytne“ „stanowisko“ (?), do grona fabrykantów (surogatu) opinii publicznéj; bardzo już skromny, jeżeli przypisuje to tylko dobroci swego stylu, chociaż łudzi się i w tym względzie, bo dla wszystkich niemal dzienników pożądanym jest właśnie styl płytki. Gazeta, której jest współpracownikiem, rośnie w jego oczach do wielkiego znaczenia; co za wpływ na społeczeństwo, co wieczora nowe wyrocznie i to we wszystkich a wszystkich kwestyach! Jakżeż niema się łudzić, że on już „działa“ na niwie życia obywatelskiego, a koledzy z serca życzą pióru „znakomitemu“ „epokowego“ działania. Prosit! dzielny chłopcze, ale pozbądźże się złudzeń, bo się w nich utopisz!

Cenić można takiego tylko akademika, którego zajmuje bieg spraw publicznych, który na tem polu ma też swoje ideały. Ale — malum necesarium towarzyszy im; w tym wieku mogą to być tylko ideały, powzięte a priori, z jakiejś abstrakcyjnej dedukcyi; ani taka dedukcya nawet nie mogła jeszcze mieć czasu dojść do ostatnich swych wyników: do szczegółów. Akademik też nie wie nigdy, jak urządzić gminę wiejską lub cech jaki, ale wie zawsze jak urządzić — ludzkość całą; jestto całkiem naturalne w dzisiejszych stosunkach. Dlatego też myśl jego obraca się zawsze w kole ogólnych pomysłów, ma do czynienia wyłącznie ze sprawami zaiste „epokowemi“. Ztąd zaś, gdy zdarzy mu się mówić lub pisać o czemś konkretném, na wszystkiém wybija piętno swoich ogólników, przeróżne znamiona „epokowe“, zaczerpnięte z własnego wyobrażenia o nowej „epoce“ ludzkości, o jakiej sobie marzy z szlachetnym zapałem.

Zupełna nieznajomość rzeczy przeszłych i teraźniéjszych ułatwia wielce mniemaną znajomość rzeczy przyszłych; młodzieniec tamtych spraw niezna i w dzisiesszych stosunkach znać nie może, dlatego niesposób mu na ich podstawie wyrobić sobie pojęcie o przyszłości — dlatego téż jego ideały są całkiem nowe i namiętnie przywiązuje się do takich doktryn, które zrywają zupełnie i gwałtownie z wszelką tradycyą. Ciekawe to zjawisko tłumaczą w różny sposób: upadkiem wiary, moralności, pilności i zwalają na młodzież za to całą Sodomę i Gomorę — podczas gdy przyczyna jest bardzo prosta: m ł o d z i e ż t e d o k t r y n y p r z y j m u j e, k t ó r e j é j n a j ł a t w i é j p o j ą ć, których zrozumienie nie wymaga poprzedniego zrozumienia przeszłości i teraźniejszości. Teraźniejszości poznać niema najmniejszego sposobu, przeciwnie, tysiące sposobności do nabycia o niéj fałszywego pojęcia; poznawanie przeszłości w gimnazyum (pożal się Boże, co ono warte), każą kończyć w sam raz na rewolucyi francuskiéj. Gdyby abituryent miał z t e g o snuć jakie wnioski, to chyba te dwa: że wielka rewolucya jest ostatniém słowem historyi i że dalszy ciąg historyi, to dalszy ciąg rewolucyi! Z taką historyozofią przysłany na uniwersytet*) stosuje się tém bardziéj do zasady rewolucyi: że wszystko musi być na wskróś nowém A co na wskróś nowe, to już bez wątpienia „epokowe“. Te przyczyny, natrafiwszy jeszcze na naturalne u młodzieży zamiłowanie nowości, sprawiają, że młodzież zawsze ma ochotę zrobienia jakiej „epoki“; ta tylko zachodzi trudność, że choć młodzież wie zawsze, c o trzeba zrobić, nie wie, jak to zrobić (bo tu już chodzi o szczegóły)!

Tak tedy własne doświadczenie, krew młoda, pierwszy widok uniwersytetu, życie akademickie, teorye nowe, a nawet pierwsze zetknięcie się z życiem publiczném — wszystko składa się na wyrobienie manii do epok, nietylko u naszéj, ale u młodzieży w ogóle.

II. U nas specyalnie, nic specyficznie polskiego dodać tu nie można. Manija do epok grasuje dziś w całéj Europie, w Polsce nie znajduje ani specyalnych ułatwień, ani tam. Możemy tedy przejść do trzeciego punktu, do skutków wady.

---

*) Okoliczność tę z gimnazyalnéj nauki historyi uważam za gruby błąd pedagogiczny — ale niemożna z tego robić nikomu zarzutu, non est peccatum sine voluntate peccandi. Co do nauczycieli, wiadomo, że w dzisiejszém szkolnictwie w sprawach nauczania — nauczający nie mają głosu!

III. Rzeczy naprawdę doniosłe, nie dzieją się codziennie, a epoki w każdym zakresie spraw i przedmiotów przypadają najrzadziéj, i to têm rzadziéj, im sprawa czy przedmiot dojrzalsze. Ustawiczne, że się tak wyrażę, wietrzenie epok, prowadzi do nieturalności i przesady — a nas samych stawia w fałszywém położeniu względem tychże spraw i przedmiotów. Trzeba koniecznie umieć odróżnić sprawę drobną od wielkiéj, trzeba w sobie wyrobić poczucie całéj skali od przygodnej bagateli aż do epoki — a to poczucie zatraci się w ustawiczném oczekiwaniu czegoś wielkiego. W życiu praktyczném obywatelskiém, niebezpieczna ta wada grozi têm, że gdy nareszcie nadejdzie naprawdę doniosła sprawa, przejdzie ani niepostrzeżona przez tych, którzy epokowych epitetów nadużywali dla lada czego.

Pierwszym warunkiem krytycznego zmysłu jest, ażeby mieć jakąś miarę do oceniania wypadków i ludzi. Jakżeż może mieć sprawiedliwą miarę ten, kto na wszystko patrzy przez jakieś szkła powiększające?? Kto wszystko, co tylko mu w rękę wpadnie, uważa za wielkie, ten nietylko straci z czasem zupełnie zdolność odróżnienia wielkiego i małego, ale jeszcze nowéj nabędzie strasznéj wady: lekceważenia wszystkiego, co mu się wielkiém nie wyda, bagatelizowania spraw powszednich, zaniedbywania szczegółów. Taki człowiek wysunie nieraz na pierwszy plan coś takiego, co najlepiéj byłoby pominąć całkiem, a pominie właśnie to, co wymaga większych starań i zachodów — nie dziw potém, że z działalności jego wyrastają nieraz całkiem inne owoce, niżby sobie życzył! Najczęściéj zaś zastosować można doń przysłowie: parturiuntur montes... A w ocenianiu ludzi, gdy się natworzy dużo „epokowych“ „znakomitości“, ten chyba będzie skutek, że się prawdziwéj zasługi ocenić nie zdoła. Ale to jeszcze byłaby szkoda — najmniejsza.

P r z e s a d n e d o d a w a n i e w s z y s t k i e m u i w s z y s t k i m z n a c z e n i a p r o w a d z i d o o b n i ż e n i a p o z i o m u ż y c i a o b y w a t e l s k i e g o. Czém łatwiéj o epitet wielkości, têm mniejsza ta wielkość. Jeżeli gdzie jest na tyle sił, aby zabrać się do spełnienia zadań naprawdę wielkich, takich, któreby w rozwoju społeczeństwa rzeczywiście stanowiły zwrot jaki do lepszéj doli, z pewnością nie tak łatwo nazwie się jakąś sprawę „wielką“, lub człowieka „znakomitym“. Według pojęć o „wielkości“, mierzyć można siły i jednostki i społeczeństwa. Wielkiem nazywamy to, co wymaga wielkiego trudu. Im mniéj zdolni jesteśmy do trudu, têm prędzéj nazwiemy cokolwiek wielkiém, a kto przez dłuższy szereg lat będzie w sobie obniżał pojęcie wielkości, ten przez to samo obniży w sobie pojęcie trudu. Nareszcie wszystko mu będzie trudném, pełném zasług dziełem — co nie było bardzo łatwe — a w końcu tylko do najłatwiejszych rzeczy będzie jeszcze zdolnym. Najzdolniejszy młodzieniec utraci zdolności, jeżeli ich należycie nie ćwiczy — i to na coraz trudniejszych przedmiotach. Coraz mniejszy, coraz łatwiejszy ma nam być pewien zasób trudu — abyśmy się pokusić mogli o nabycie większego!

Warunkiem postępu niezbędnym jest, żeby się nigdy nie zadowoinić têm, co się już umie. Mierząc zasób zdolności nie têm, co jest, ale têm, coby jeszcze być mogło, rzadko kiedy nabędziemy przekonania, żeśmy w danym razie mieli do czynienia z czémś wielkiém, a têm mniéj „epokowém“. P o j ę c i e w i e l k o ś c i j e s t p r o p o r c y o n a l n e d o z a s o b u z d o l n o ś c i.

Bodajby, czém dalej od szkolnéj ławy, têm skąpszą była młodzież w szafowaniu wielkością. Uczmy się używać należycie miar i wag, ażeby ani samym oszukać się nie dać, ani drugich mimowolnie nie oszukiwać — epokowym blichtrem! Pamiętajmy, że dopiero w przyszłości historya zdoła osądzić, czy za czasów naszéj młodości przygotowywała się rzeczywiście jakaś nowa era, epoka, czy choćby tylko okres. Starajmy się nabrać informacyj o sprawach, w których nie bierzemy udziału, ażeby się przekonać, czy też nie są one większe od tych, w których my składamy swoją pracę. Przedewszystkiem zaś mierzmy czynności nasze według trwałości ich skutków! Chcąc krytycznie ocenić doniosłość pewnéj sprawy, najlepiéj zapytać, co będzie po roku, po latach pięciu, dziesięciu, czy pozostanie ona aktualną i po naszéj śmierci? Według téj miary można sobie urządzić skalę doniosłości spraw. Co zaś do osób, doradzam pytanie: co byłoby bez niego, co byłoby, gdyby go nie było? I tu téż rozległa skala od odpowiedzi: byłoby tak samo — aż do przeświadczenia, że nie byłoby całego szeregu czynów. W ten sposób postępując, można dojść do zrozumienia, co właściwie znaczą takie wyrazy, jak epoka i znakomitość.

N i e o b n i ż a j c i e p o z i o m u w y m a g a ń w s w y c h s ą d a c h — ż e b y g o p ó ź n i é j n i e o b n i ż y ć w s w y c h c z y n a c h! S t a r a j c i e s i ę p o d n i e ś ć w s p o ł e c z e ń s t w i e p o j ę c i e w i e l k o ś c i! *)

ROZPRAWY NAUKOWE.

Teorya ewolucyi i paleontologia.

(Na podstawie Prof. M. Neumayra: „Die Stämme des Thierreiches“)

N a p i s a ł

Tadeusz Wiśniowski.

Nauki przyrodnicze usprawiedliwiają dzisiaj przypuszczenie, że powstanie organizmów na naszej planecie mogło się odbyć bez współdziałania jakiejś siły niewytłómaczonej i zagadkowej a tylko pewna niezwykła może kombinacya, zwyczajnych zresztą czynników przyrody wywołała przemianę materyi nieorganicznej w organiczną. Z tego jednak daje się wysnuć zupełnie logiczny wniosek, że organizacya tych pierwotnych istot musiałaby być możliwie najprostszą.

Jeżeli więc odrzucimy teoryą, która przyjmuje dla każdego gatunku osobny akt stworzenia, a zgodzimy się natomiast na teoryą powstawania gatunków D a r w i n a, to trudno zaprzeczyć możliwości tego, że cały ten świat zwierzęcy i roślinny, jaki otacza nas obecnie lub którego szczątki leżą pogrzebane w łonie ziemi, powstał z jednego lub tylko pewnej liczby takich praorganizmów naszej ziemi, za czém przemawia zresztą cały szereg faktów, znanych z biologii.

W obec tego oczywistą jest ewolucya, jakiej uległy istoty organiczne od chwili swego pojawienia się do dnia dzisiejszego.

Ponieważ jednak pierwsze przypuszczenie jest dowolnem, jakkolwiek prawdopodobnem, a tak samo teorya Darwina posiada jeszcze przeciwników z powodu pewnych stron swoich nieco ciemnych i nie dosyć zrozumiałych, potrzeba przedewszystkiem w sposób niezbity

*) W następnym numerze pomówimy o szpetnym narowie zarzucania drugim złéj woli.

udowodnić tak pierwszy jak i drugi punkt naszego założenia, zanim możnaby przystąpić do bliższego rozpatrywania kwestyi samej ewolucyi świata organicznego.

Tego rodzaju niezbite, bo już bezpośrednie dowody dać nam może tylko paleontologia, jeżeli więc teorya ewolucyi istot uorganizowanych ma być prawdziwą, powinny badania paleontologiczne potwierdzić przypuszczenie, że pierwsze istoty posiadały organizacyą najprostszą, że gatunki ulegały zmianom w myśl Darwina, a wreszcie..... cała paleontologia z natury rzeczy jako historya świata zwierzęcego i roślinnego powinna być obrazem właśnie takiej ewolucyi. Tego od paleontologii oczekiwać możemy i powinniśmy.

Tymczasem szukając potwierdzenia ewolucyi organizmów na polu badań paleontologicznych, zaraz u wstępu spotykamy się z trudnościami wcale znacznymi.[1]

I tak widzimy, że w pokładach epoki geologicznej z pierwszymi resztkami organizmów, a więc w kambryum występują zwierzęta już o tak wysokiej organizacyi, jak trylobity, (skorupiaki, ograniczone tylko do okresu paleozoicznego), co zdaje się stanowczo przeczyć prawdziwości pierwszego punktu naszego założenia. Jest to zarzut, z którym teorya ewolucyi spotyka się zbyt często ze strony niepowołanych jej przeciwników.

Zarzut ten odpada jednak stanowczo, jeżeli uwzględnimy, że utwory archaiczne, a więc starsze aniżeli pokłady kambryjskie, wykazują znaczne masy krystalicznych wapieni, których powstanie przypisujemy zawsze współdziałaniu organizmów, a nawet zawierają czasem węgiel i rozmaite bitumina, co stanowczo nakazuje wnosić, że już podczas osadzania się ich istniało życie organiczne na powierzchni naszej planety, że więc świat zwierzęcy i roślinny epoki kambryjskiej przedstawia nam jeden z dosyć późnych już etapów rozwoju życia organicznego na ziemi.

Trudność, często nie do pokonania w wykazaniu przejść od gatunków starszych do młodszych w paleontologii widział już Darwin, ale równocześnie z pokazaniem się epokowego jego dzieła, a więc już 30 lat temu, jeden ze znakomitych paleontologów rosyjskich, Trautschold, dziwi się, że jako znakomitego dowodu dla swojej teoryi zmienności gatunków nie użył Darwin właśnie już wtedy licznie dosyć znanych w paleontologii form przejściowych między pojedynczymi gatunkami, rodzajami, rzędami nawet, etc.

Od czasów, kiedy wypowiedział to zdanie Trautschold, materyał paleontologiczny wzbogacił się niesłychanie, a dzięki uwadze paleontologów, skierowanej przez Darwina ku wyszukiwaniu pokrewieństwa i form przejściowych między pojedynczymi gatunkami roślin i zwierząt, zdołano dotychczas w wielu grupach systematycznych wykazać całe łańcuchy form, które począwszy od starszych aż do najmłodszych wykazują rzeczywiście szereg przejść tego rodzaju, udowadniając tem samem to ogólne prawo biologiczne w przyrodzie, że gatunki nie są wcale typami stałymi, owszem ulegają zmianom swych cech charakterystycznych nie tylko w granicach odmian. Tem samem upadałaby jednak i teorya tych badaczy, którzy zgadzając się na trudny do zaprzeczenia fakt zmienności gatunków, przypuszczają, że z danego gatunku tworzy się gatunek nowy nie przez powolne przeistaczanie się cech gatunkowych, a więc za pośrednictwem całego łańcucha form przejściowych, ale wprost, w sposób mniej więcej nagły, przez szybką utratę pewnych cech lub nabycie nowych. (Umpragung).

Z tego już widać najlepiej, że paleontologia rzeczywiście w kwestyi, w której panuje tyle kontrowersyj, daje nam jedynie niemal prawdziwie stanowczą odpowiedź, potwierdzając tylko teoryą powstawania gatunków młodszych ze starszych przez sumowanie w przeciągu długich wieków całego szeregu zboczeń, idących zawsze w tym samym kierunku od formy macierzystej. Pojedyncze ogniwa tego łańcucha form przejściowych, pojawiając się stale z cechami sobie właściwymi w danej chwili, tj. w danym poziomie geologicznym, otrzymały nazwę **mutacyj**, w przeciwstawieniu do towarzyszących i współczesnych im zawsze odmian.

Pierwszymi, którzy w paleontologii zestawili tego rodzaju formy mutacyjne, byli Hilgendorf i Waagen, ale już przed pojawieniem się teoryi Darwina istnienie takich form przejściowych, następujących po sobie w porządku chronologicznym i łączących dwa skrajne typy — jeden najstarszy, drugi najmłodszy — nie uszło uwagi paleontologów. I tak Hoernes, opisując trzeciorzędne mięczaki okolicy Wiednia, wspomina, że jedną formę mioceńskiego ślimaka, jakkolwiek różni się ona znacznie od gatunku dzisiaj żyjącego w Morzu Śródziemnem *Cancellaria cancellata*, musi zaliczyć do tego samego współczesnego nam gatunku, ponieważ z pliocenu, a więc z epoki z fauną łączącą świat zwierzęcy mioceński z dzisiejszym, znaną jest forma pośrednia między formą znalezioną przez niego w pokładach mioceńskich kotliny wiedeńskiej a typem dzisiaj jeszcze żyjącym. Było to uznaniem istnienia mutacyj, w sposób tylko odpowiedni danej chwili.

Obecnie literatura paleontologiczna zna już, jak wspomniałem, wiele tego rodzaju szeregów mutacyjnych, jakkolwiek zestawienie ich jest rzeczą wcale nie łatwą, zwłaszcza dla kopalnych gatunków morskich. Przeciwnie wynalezienie mutacyj, dla gatunków słodkowodnych przedstawia się w wielu wypadkach o wiele łatwiej, co tłomaczymy sobie tem, że granice rozsiedlenia się geograficznego zwierząt żyjących w owych odległych epokach w jeziorzyskach, musiały być jak i dzisiaj bez porównania ciaśniejsze od granic rozsiedlenia się jakiegoś gatunku, mieszkającego w obszernych i głębokich oceanach. W skutek tego w pokładach, które osadziły się z wód słodkich, występują mutacye takie czasem nawet w jednem i tem samem miejscu w nieprzerwanem chronologicznem następstwie i z zadziwiającą czasem prawidłością. Klasycznymi pod tym względem są słodkowodne pokłady na wyspie Kos, opisane przez Prof. Neumayra.

Pierwszą wzmiankę o tem, że na wyspie téj znajdują się pokłady słodkowodne, których fauna okazuje zdumiewająco prawidłowe, powolne przejście od gatunków starszych warstw niższych do gatunków warstw wyższych, a więc młodszych, podali Forbes i Spratt. Pokłady te należą do młodszych pokładow trzeciorzędnych, a fauna ich składa się głównie ze ślimaków rodzaju Paludina.

Zaciekawiony tą krótką tylko wzmianką udał się Prof. Neymayr na miejsce, ponieważ jednak obaj poprzedni badacze nie podali dokładnie miejscowości, w któréj widzieli odsłonięte owe osady słodkowodne, kilkudniowe nawet wytrwałe i mozolne poszukiwania, podczas których zbadał Prof. Neumayr geologiczną budowę całéj wyspy, wydawały się bezskutecznymi. Nieodwołalny termin odjazdu zbliżał się, a pozostał jeszcze nie zwiedzony tylko maleńki skrawek wyspy na najdalszej wschodniej jej kończynie, który wreszcie zniechęcony tymi zawodami badacz postanowił, z małą jednak nadzieją pomyślnego skutku, przeszukać. Jakaż jednak radość a zarazem zdumienie było uczonego, kiedy w jednym jarze między miastem Kos a Cap Luro, po-

stępując zboczem jego w górę, spostrzegł wreszcie to, czego szukał, a co o wiele przewyższało wszelkie najśmielsze nawet nadzieje i przypuszczenia. „W jasnym wapieniu marglowym“ — mówi znakomity profesor — „leżą w olbrzymiéj ilości, jak śnieg białe skorupy ślimaków z rodzaju Paludina, na samym dole formy owalne, zupełnie gładkie, które ku górze powoli przybierają postać stożkowatą, później okazują zagłębienie wzdłuż pojedynczych skrętów, po ktorego obu stronach wreszcie występują jeszcze dwie silne listewki. Przytem leżą pojedyncze formy tak prawidłowo rozmieszczone w odsłaniających się tu warstwach, że wystarcza tylko postępować w gorę stoczystości, z oczami w dół skierowanymi, ażeby można śledzić najdokładniej sposób rozwijania się całego szeregu form opisanych. Podczas tego, przekonany jestem, wystarczałoby zupełnie, w odstępach dziesięciocentimetrowych na ślepe szczęście pierwszą lepszą, lepiej zachowaną skorupę podjąć z ziemi, aby zestawić w ten sposób cały szereg form przejściowych.“

Fakt tego rodzaju, trzeba przyznać, musi nawrócić każdego, usposobionego nawet najbardziéj sceptycznie względem istnienia form mutacyjnych, czyli teoryi powolnego tworzenia się coraz nowych gatunków, jakkolwiek bezsprzecznie posiada ona jeszcze pewne strony ciemne i niewytłómaczone.

Jeżeli więc udowodniliśmy na drodze badań paleontologicznych, że gatunki rzeczywiście ulegają zmianom nie tylko w zakresie i w kierunku wytwarzania nowych odmian, a wskutek tego z danych gatunków po pewnym przeciągu czasu powstać mogą i rzeczywiście powstają pewne gatunki nowe, chodziłoby teraz tylko o wykazanie metodą palentologiczną tego, że zmienność ta gatunków związaną była z ciągłym doskonaleniem się w ciągu epok geologicznych istot uorganizowanych, że objawia się w swoim rezultacie w paleontologii rzeczywiście jako ewolucya organizmów.

(*Dokończ. nastąpi*).

DZIAŁ LITERACKI.

Cienie.

We śnie widziałem je: z twarzą wybladłą,
Strawione głodu palącą pożogą,
Szły tłumy cieniów w dal bieżącą drogą —
Ponure sennéj méj myśli widziadło.

Po zgiętych z pracy barkach, dłoni czarnéj,
Poznałem je: to smutne cienie ludzi,
Których do trudu świt półmroczny budzi,
A trudu kres dzwon wieści im cmentarny.

To cienie ludzi, którzy patrząc w słońce
Modlą się, aby zagasło coprędzéj,
Bo tylko senni nie czują kłów nędzy —
I słońcu klną, gdy wita ich wschodzące.

Spytałem cieniów tych: „Dokąd wam droga,
Losów przemocy nieszczęsne ofiary
I bezpraw, ludzkich?...“ Odrzekły mi mary:
„Sprawiedliwości idziem szukać Boga —
Idziem Go szukać w sercu pokolenia,
Co dzisiaj szyszak na skroń młodą wkłada...“
I przewinęła się cieniów gromada,
Jako kłąb dymu, co sferę zacienia...

Młodzi! Wszak prawda, że nie nadaremno
Do waszych uszu jęk słabszych dolata?
Ten, kto rannego nie zasłoni brata
Swą własną piersią — ma duszę nikczemną!

Los, przeciwnicy mogą zmóc was tłumni,
Ale wiekowi niechaj wiek powtarza,
Żeście bronili idei ołtarza
Sił wszystkich dla niej poświęceniem dumni!...

Kaz. Przerwa-Tetmajer.

Czarny okręt.

Po morzu dziejów płyną wolne ludów nawy,
Dumnie białe ich żagle świecą wśród odmętu,
Pośród nich czarny statek, jak upiór okrętu,
Błądzi bez steru — pusty — zrabowany — krwawy —

Starszyzna śpi w kajutach, niepomna naprawy,
Sternicy poginęli wśród bitew zamętu —
Boją się statki ludów czarnego okrętu,
Straszy ich kapitanów cień przeszłości krwawy —

On nie tonie, lecz płynie, choć padli sternicy;
Kto go trzyma, że w mokrej nie zniknie mogile?
Tam — na dnie — ci z wiosłami skuci niewolnicy.

Ty czarny statku! kto są ci ludzie u spodu,
Co znojem ramion zguby powstrzymują chwilę?
Ach, wiem kto — to heloci mojego narodu...

F. H. Nowicki.

Za aniołem stróżem.

Obrazek

Wilhelma Feldmana.

Ziemia okryła się ogromną, śniegową oponą o skrzącej się białości, wiatr huczy i wyje posępnie pędząc przed sobą ciemne tumany, a mróz ściska w lodowatych kleszczach wioskę całą. Epoka-to karnawału i nędzy, największej liczby wesel i śmierci głodowych.

Pięcioletni Jóźko siedzi już od dwóch miesięcy zamknięty w chałupie, bo nie dla chamskiego syna futra i kamasze. Jemu nie mogą rodzice marnej pary butów ni ciepłego przyodziewku sprawić; od pierwszego więc śniegu nie wystawił nosa za próg domostwa.

A tu tak źle — tak smutno!

W poszarpanych spodenkach, bosymi stopami biega malec po izdebce, jak ptak po klatce; nie szczebioce jednak, nie figluje, jak dawniej, na wolności. Dawniej — ha! Jak ryba pluskał się w rzeczułce, jak kulka toczył się po całej wiosce, mały, pulchny, swywolny. Teraz schudł Jóźko, zmizerniał nieborak, oczy mu się zamgliły, wesołe, swobodne krzyki zamieniły się w bledniejących jego ustach w posępne jakieś mruki, miasto płatać psie figle jak dawniej, siedzi obecnie całymi dniami za piecem i w zadumie ssie palce. Nieraz staje na ławce obok

okna i dostrzega Baśkę i Antka, jak ze śniegu wspaniałe lepią bałwany, jak zgrabnie, wesoło, rozkosznie suną saneczkami po śniegu.

Łzami wówczas zachodzą mu oczy, a serce się żali:

— Czemu oni mogą, a ja nie!

Tam znowu stada wróbli tańczą ochoczo, tu pies podwórzowy biega swobodnie, tylko on jeden zamknięty — taki biedny, taki nieszczęsny.

Starzy pracują dzień cały na Leśniczówce, siostra robi w domu porządki, gotuje strawę, ktorą następnie w dwojaczkach nosi rodzicom, we wolnej zaś chwili odchodzi do sąsiedztwa, a malca na klucz zamyka.

— Ligaj se spokojnie! — przykazuje — aż ja przyńdę.

W pierwszych dniach gorzkiej niewoli, w pustej i zimnej chałupie, wybuchał Józko gorącym płaczem, miotał się na ziemi, przyczepiony do spodnicy matczynej skomlił, wił się . . Nie pomogły nań łajania ni kułaki.

— Matuś, matulu najmilejsza! wołał rozpaczliwie. — Ja się boję . . .

— A ty, maszkaro, czego się boisz po próżnicy? zawołała raz matka. — Przecik anioł stróż jest nad tobą.

Słowa te, wyrzeczone w prostocie ducha, czy wskutek dyplomatycznego wyrachowania, uspokoiły Jóźka znacznie.

Nie krzyczał już, nie płakał. Spoczywa na tapczanie obok pieca, siostra rzuca nań starą ojca opończę a do ręki daje kilka upieczonych kartofli. Wysysając je leży chłopak na wznak z rękoma splecionymi i w głębokiej pogrążony kontemplacyi.

— Maryś! woła z zadumy. — A kto to jest ten anioł-stróż?

Ona odpowiada łagodnie, pouczająco. I matuś wieczorem ślicznie mówi, jako każdy człowiek ma swego anioła, który nad nim czuwa z wysoka, strzeże go i broni, a czasami schodzi też na ziemię. Biały on, jasny i czysty, jak słonko, ubrany w błękit i złoto, a na skrzydłach unosi się nad tymi, co grzeczni są i dobrzy.

Z roziskrzonymi oczyma patrzy chłopię w twarz opowiadającej. Olśnionym wzrokiem, rozgorączkowaną wyobraźnią podąża w tym kierunku, i tak w długich godzinach samotnych rozmyślań wytworzył sobie obraz cudny i oblał go wszystkimi promieniami tęskniącej, wybujałej swej duszy.

Nie czuł się już opuszczonym, głód i chłód już mu tak bardzo nie dolegały. Był przecież pod skrzydłami opiekuńczymi anioła-stróża.

Mimo to bieda i cierpienia nie przestawały trapić Jóźka. Dusił on się między czterema ścianami, bez ruchu, bez powietrza. Dzika go czasem napadała chętka i rwał się, by skakać, biegać, koziołki wywracać — lecz nogi mu z zimna rychło kostniały a ciało krzepło. To znowu wołał do siostry: jeść. Maryś, jeść chcę! a ona tylko kartoflą mogła mu usta zatykać. Płakał Jóźko w takich chwilach, gorzko płakał i raz zapytał: A mój anioł gdzie?

Wieczorem izba się ożywiała. Przy słabem świetle „skałki“ z drzewa sosnowego, lub przy łuczywie kopcącem siedziała matula z igłą lub kądzielą w reku a z skargą i jękiem na ustach. Później wpadali tatuś prosto z karczmiska, z krzykiem i łoskotem. Rzucał miską o podłogę, żonę „przetrącał“, że padała jak nieżywa, a płaczącego mu się pod nogami z głośnym płaczem Jóźka kopał i deptał.

— A mój anioł gdzie? myślał wówczas chłopczyna.

— Maryś! wołał niezliczone razy. — Musi ty już go widziała?

Natarczywość ta zniecierpliwiła siostrę.

— Pomięszałoć ci się we łbie, maszkaro utrapiona! ofuknęła go gniewnie.

Odprawiony przez siostrę, udał się Jóźko do matki i szarpał ją za rękaw:

— Opowiadajta-że matuś!

— Robacku mój miły! wołała ona w rozczuleniu. — Ano słuchaj. Był sobi raz taki bidny gospodarz. Pojechał se do lasa. .

Jóźko silniej ją targnął.

— Nie to, matuś, nie to!

— Cóż ino? Zawżdy to samo? Słuchaj. Jeden król miał trzech synów. .

Tu jeszcze niecierpliwsze szarpnięcie.

— Nie chcem, matuś, nie to!

— Tylko? o zaklętym królewicu? o żołnirzach?

Nie mogąc zaspokoić ciekawości jego co do anioła stróża, rozgniewała się matka na końcu.

— Ty bąku zatracony! wołała. — Cięgiem chciałbyś to samo . . Spać lepiej.

Ze spuszczoną główką i gorącem sercem klękał wtedy malec na gołej ziemi, składał ręce i z przejęciem się jął odmawiać:

— Aniele stróżu mój — Wiecznie przy mnie stój — Jak we dnie tak i w nocy — Bądź mi ku pomocy. .

Potem kładł się, najczęściej na ziemi, gdzie kilka wieprzaków, jedyny dobytek biednej rodziny, miało w zimie stałe swoje legowisko. Czasem dusiło go tam coś i bodło niemiłosiernie, tak że nie mógł oddychać, i bezwładny, jak z ciężkiego więzienia na tortury wzięty, z bolem w sercu i zamętem w głowie, rozmyślał o swej biedzie.

— Muszę kiedyś zobaczyć mego anioła-stróża! postanowił raz, gdy dotychczasowe westchnienia i prośby modlitewne do niebiańskiego opiekuna nie ulżyły gorzkiej jego niedoli.

— Muszę go widzieć . .

Powziąwszy taki zamiar, pieścił się nim malec, rozkoszował, jak kluczem mającym otworzyć wrota raju. I lepiej wyciągał się na mierzwie, która ogrzana, stawała się miękką i ciepłą; przytulał się do swych towarzyszy. prosiątek, co go mile grzały i głaskały, i wśród ich pomruków i kwików, wśród piekielnej wrzawy pijanego ojca, lub głębokiego chrapania całej rodziny, zasypiał niespokojnie, widząc nad sobą białą skrzydlatą postać, z rószczką w ręku i miłością w oku.

* * *

Ciepłym oddechem owionęła wiosna ziemię całą, blaskami ją opromieniła, zalała świeżością i wonią. Jóźko opuścił teraz leże zimowe i przeniósł się do ogromnego, przestronnego mieszkania, gdzie światła i powietrza jest podostatkiem i swobody i rozkoszy — pod gołe niebo. Najprzód w sieni, potem na podwórzu, nakoniec na szerokim gościńcu, w miarę odwilży i ustalenia się pogody, dreptał jak kaczka, rozszerzając szeroko źrenice, pakując ze zdziwienia dłoń całą do ust. Długie odosobnienie atoli i życie w sobie zamknięte wywarło swój skutek: zatarło i pomięszało mu w pamięci widoki i wrażenia przeszłości, i rzuciło mgłę na oczy i bezsilność na ciało, tak że chodził, „nikiej tuman“ senny, milczący, apatyczny. Zaczął żyć wyłącznie ze swymi marzeniami.

Odnowił znajomość ze zeszłoroczną kompanią, składającą się z dzieci sąsiedzkich. Rej tam wodził Antek Bartkowy i Baśka. Dawniej hulał Jóźko wraz z nimi, hulał! aż się kurzyło, był hersztem i mistrzem, a teraz stał się niezdarą, „niemrawcem“. Kiedy cała gromada dzieciaków, z ogromnym piskiem i rejwachem goniła gęsi lub budowała pałace; kiedy wszystkie oddawały się z całego serca wesołym figlom i psotom i zabawom — on, w zgrzebnej koszulinie i postrzępionych spodenkach siedzi na

uboczu, a na bladej jego twarzy zaduma, w niebieskich oczach tęsknota jakaś i żałość osiadła. Towarzystwo całe poznało, że się w Józku zmieniła natura, posługują się też nim wszyscy, poszturkują, łają, a on nie bierze udziału w sejmikach i czynnościach ogólnych.

Antek i Baśka siedzą teraz na murawie i bawią się w najlepsze. Ona przynosi chrząszcze i zazule, on wbija je na ciernie, i ku największemu zachwytowi przyjaciółki fabrykuje toczący się wózek. Józka za serce ścisnęło.

— Taki ony bidny . . szepnął do oprawcy.

Na ten sentymentalizm Antek nie zwrócił uwagi nawet, a Baśka na widok drgawek śmiertelnych i tortur zwierzątek wzdrygnęła się i zasłoniła sobie oczy, ale za chwilę przyniosła świeże i sama spróbowała na pal je wbijać.

Józko siedział z pomarszczonem czołem, głęboko zamyślony.

— Antek! odzywa się nagle. — A czy zwierzątka mają anioła-stróża?

Zapytany, nie wyrzekłszy ani słowa spojrzał okiem, które dobitnie zdawało się mówić: oj, ty ośle! Toż one duszy nie mają! a Baśka głośnym wybuchła śmiechem.

— Capisko jakiś! wyrzekła miasto odpowiedzi, wydymając usta z głęboką ironią, jakby w salonie rzuciła druzgocące słowo: idealisto!

Józko od nich się oddalił.

Przyszedł do chałupy.

— Maryś, jeść! zawołał.

— A skądże-ci wezmę, raku jakiś! krzyknęła siostra, na której barkach całe gospodarstwo ciężyło.

— Ale ja głodny rozpłakał się chłopczyna, niewiedzący jeszcze co to przednowek u chłopskiego wyrobnika.

Rozzłoszczona wskutek trosk i biedy Maryś poczęstowała braciszka potężnym szturchańcem. Malec uciekł na podwórze. Chłodny wiatr owiał go zimnem, cierń i pokrzywa zraniły mu bose nożyny. A w sercu pełno łez i marzeń. Rozbujały się one, uskrzydliły i podszepnęły Józkowi śmiałe przedsięwzięcie.

Chłopczyna puścił się w świat — w pogoni za aniołem-stróżem . .

* * *

Piękny dzionek wiosenny rozlewał pogodę i wesele; słońce uśmiechało się do ziemi, a ziemia podniosła się ku niemu tysiącem kwiatów i rąk tysiącem, w podzięce za życie, za piękno, które ono wszędzie roznieca. Na wsi cisza i spokój, bo ludzie przy robocie. Środkiem gościńca maszeruje Józko. Kamienie przydrożne szarpią mu stopy, gzy i muchy obsiadają twarz jego, wiatr rozwiewa mu długi, poplątany, lniany włos, przez ogromne dziury dostaje się do ciała i smaga je . . Chłopię na nic nie zważając posuwa się naprzód, czystymi, lazurowymi oczyma przebiega cały widnokrąg, tonie w błękitach, które tak wspaniale nad nim się rozścieliły.

Nic jednak.

Chłopczyna uszedł ogromny kawał drogi, jest już na skraju wioski. Naraz wzrok jego pada na pagórek. Na nim mały piękny domeczek, o ślicznie malowanych ścianach i czerwonym dachu. Józko zbliża się, patrzy. Drzwi tam nie ma, w środku od sufitu zwiesza się lampka, w której różowy płonie ognik, a tuż przy ścianie . . joj! postać cudowna! Dokoła jej głowy — promienie złote; na twarzy — uśmiech taki słodki, taki dobry . . płaszcz jej błękitny jako niebo — a cały wysadzany złotymi gwiazdami, ręka zaś ruchem majestatycznym podniesiona w górę, do błogosławieństwa. .

Józko przyrósł do ziemi. Gwałtowne wzruszenie zatamowało mu oddech.

— Anioł Stróż. .

Utopił w niego oczy, a dreszcz go przebiegł. .

— Zara zejdzie. .

Postać z niezmienionym wyrazem świętości i majestatu jaśnieje w promieniach słonecznych, ale nie schodzi.

— Aniele-stróżu mój . . . zaczął chłopczyna drżącymi usty i złożył rączki. Serce jego wezbrało głęboką miłością i wiarą, na usta cisnęły się błagalne słowa, by anioł raczył złożyć nań rękę i odjąć tę biedę i te plagi, co tak go dręczą. .

Postać cudowna nie porusza się, nie przemawia wcale.

Józko się przeląkł. Ta nieruchomość, ta skamieniała słodycz przeraziła go.

Wtem uczuł silne szarpnięcie za ramię, i zdziwiony, ostry głos matuli zabrzmiał;

— A ty co robisz w kaplicy?

— Ja — szepnął — tu do anioła-stróża. .

— Dyć to Matka Boska namalowana! zawołała matka zgorszona. — A to z ciebie capisko! No, przeżegnaj się i pójdziewa.

Józkowi ręka jakby zdrętwiała, nie mogła się podnieść, by zrobić znak krzyża.

* * *

Józko posmutniał. Twarzyczka jego zmizerniała jeszcze bardziej, straciła kolory, główka pochyliła się na piersi. Siedział nieraz, od czasu do czasu pomrukując coś niezrozumiale, to znowu kręcił się niespokojnie w domu, wałęsał się po wszystkich zakątkach i drogach.

Nikt tego nie zauważył, nikogo to nie obchodziło. Starzy pracowali teraz z natężeniem wszystkich sił, by odpędzić głód, czyhający na ich zgubę, ojciec ze zgryzoty jeszcze częściej się wściekał, matka i siostra w usposobieniu rozpaczliwem jeszcze bardziej jedynaka zaniedbywały, a on zgłodniały, zgnębiony palił się duszą, rwał się, wzdychał do anioła, ktory miał rószczką czarodziejską wszelkie zło odeń zażegnać .

— Prawdziwe z ciebie capisko! wołali na Józka Baśka i Antek. — Tylko merda ogonem i głową kiwa.

Oni — to całkiem co innego. Używają świata że aż strach! Chodzą do lasu, zbierają poziomki czerwone, słodkie .

Raz pociągnęli i Józka na cmentarz.

— Takie to dobre, zobaczysz. Tam teraz najwięcej.

On poszedł, a na drodze wtajemniczali go w swoje sztuczki, nakazali, aby zaraz uciekł, jeśli tylko jegomość nadejdzie. Antek był starszy od Józka i większą miał praktykę za sobą, wiedział też, że na cmentarzu tylko jegomościne kozy paść się mogą, a innym — wara!

Z podziwem i ze znakiem zapytania w oczach patrzał Józko na mogiły i krzyże, wśród których między trawami i zielskami, gęsto ukazywały się purpurowe poziomek główki.

— Jedz Józko! zachęcali towarzysze poszturkując go łokciami. Sami opychali się, mlaskając głośno, jak smakosze wytrawni.

Wtem z pomiędzy grobowców i krzyżów wyszła postać wspaniała. Głowa jej okolona siwemi włosami, twarz biała, uroczysta, pełna łagodności i dobroci. Biała komża i ornat złotem wyszyty nadały tej postaci blask i urok cudowny, a za nią ukazało się z jakiegoś pogrzebu kilku ludzi, stanęli z czcią i pokorą, i rękę jej do ust przyciskali. . Ona uśmiechała się dobrotliwie, przemawiała przyjaźnie.

Oczy Józka zaczęły się iskrzeć.

— Anioł-stróż! wyszepnął, zadrżawszy całem ciałkiem. Nie zwrócił uwagi na towarzyszy, którzy z pośpie-

chem uciekali, nie wiedział, jak długo tak stoi. . Serce biło mu młotem, usta zwolna się poruszyły:

— Przecik raz. .

Nagle postać owa podeszła ku niemu.

Jemu kolana zadygotały, w oczach pociemniało, jak człowiekowi, stojącemu u progu wielkiego, niespodziewanego szczęścia.

— To ty, urwiszu jeden, zbierasz poziomki? rozległ się głos surowy, groźny.

— Pamiętaj, hultaju, że jak cię raz jeszcze znajdę, to. .

Tu uczuł Józko gwałowne szarpnięcie za uszy i czuprynę. Słów reszty nie dosłyszał, taki zamęt powstał w jego głowie. Gdy przetarł kułakiem oczy, jakby dla przekonania się, czy nie śni, nikogo już obok siebie nie widział. Serce mu się ściskało, że oddychać nie mógł, a uszy dotkliwie bolały.

Głośnem tedy wybuchnął łkaniem:

— To nie był *on*. .!

* * *

Jeszcze przed kilku miesiącami skończył był Józko piąty rok życia, a teraz osądziła matka, że czas już, by się zajął uczciwą jakąś pracą, bo to doprawdy wstyd przed ludźmi i obraza boska, że taki berbeć wciąż próżnuje.

Józkowi oddano więc naczelną komendę nad stadem gęsi.

Zasmakowawszy w samotnych rozmyślaniach i wędrówkach, wiedząc jak inni towarzysze żyją swobodnie i przyjemnie, uczuł się malec obecnie bardzo biednym. Związano go z gęśmi, jakby nicią, tak że niechby jedna się oddaliła, pociągała i jego za sobą. A on leżał na murawie, trawiony niewymowną tęsknotą i boleścią wskutek doznanych zawodów, co chwila jednak musiał przywracać porządek w swoich szykach, lub gonić uciekinierów. Gryzł chleb wyniesiony z domu, ale głodu całkowicie nie zaspakajał; męczył się i dręczył przy spełnianiu żmudnych obowiązków, mimo to brał baty, a duszą wciąż rwał się gdzieindziej. . do swego ideału. Cera jego twarzyczki stawała się podobną do popiołu, a oczy — do drżących, zaćmionych ogników.

— Rety . . dumał z żałosnem westchnieniem. — Kiedyż się mój anioł-stróż zlituje. .

Skwarne lato paliło go swymi promieniami, a on patrzał w błękity: a nuż *on* spłynie. . Niedaleki lasek okrył się zielenią i kwieciem, on spoglądał tam z utęsknieniem: może się ukaże.

Udręczony, rozgorączkowany puścił się Józko raz jeszcze w wędrówkę.

Posuwał się powoli, z główką spuszczoną i rękoma zwieszonymi, jak zwiędłe łodygi. Na skraju wioski dostrzegł dróżynę piękną, białym piaskiem wysypaną, prowadzącą do wysokich, ślicznych sztachetów, jakich jeszcze nigdy nie widział.

Poszedł malec tą ścieżką prosto przed się, przestąpił furtkę ogrodową i nagle stanął olśniony.

Tuż przed nim — nibyto łąka, co leży za młynem, a przecież nie łąka. Drzewa obsypane białym puchem, domek, podobny do kaplicy, opleciony zielenią i kwiatami, grządki niby malowanki, — to wszystko tak cudnie pięknie przedstawiało się jego oczom, tak uroczo, że roztworzył źrenice i usta szeroko i pomyślał: Czy to pałac, gdzie królewna zaczarowana? czy tu raj ten, o którym matuś mówiła?

Naraz głos jakiś donośny, z dźwięcznym, wesołym śmiechem połączony, przerwał spokój i ciszę.

Malec tam się posunął. Uszedł kilka kroków i raptem przystanął. Szarawa twarz jego oblała się rumieńcem.

Na trawniku, wpośród kwiatów, siedział chłopczyna, ubrany tak, że się odeń błyszczało i obracał w rękach konika, co to wyglądał jak żywy, jeno że mniejszy. A obok tego chłopczyka — tuż obok. .

Przecudne zjawisko! Smukła, wspaniała postać, cała w bieli, stała wsparta o drzewo i z głową pochyloną patrzała na bawiące się dziecko z takim uśmiechem i takiem okiem, że Józkowi serce tajało. Stała wśród blasków i woni, różowa, promienna, z twarzą cudnie rozjaśnioną, w ręku rószczkę trzymała czarodziejską, z ramion rozwiewał jej wiatr skrzydła białe. . Stała pełna anielskości i słodyczy i miłośnie złożyła rękę na główkę chłopczyny.

Bez tchu, tamując oddech patrzał w nią Józko. — Ach! to senne jego widziadło — na jawie! O Boże — to *on*!

W zachwycie, w upojeniu malec stracił przytomność. Chwiejąc się z silnego wzruszenia postąpił naprzód. Brodził przez grządki, łamał kwiaty, a przysunąwszy się blisko ukląkł w ekstazie najwyższej, złożył rączki i jął mówić:

— Aniele Stróżu mój . .

Anioł się odwrócił. Dostrzegł dziecko chłopskie, którego włosy rozczochrane pełne były trawy i mierzwy, któremu twarz zamurdzana, koścista, pałająca, oczy zamglone, i poszarpane, brudne strzępy ubioru nadawały wyraz brzydoty i dzikości. A ręce jego złożone, a minka pobożna wskazują przecie najlepiej, że to żebrak. I takie stworzenie tyle spustoszenia tu sprawiło!

Postać owa zrobiła ruch gwałtowny a twarz jej poczerwieniała.

— Hej, jest tam kto? krzyknęła.

Z pałacu wypadło dwóch ludzi. Jeden był lokajem, drugi nauczycielem domowym.

— Aż tu zalazło to tałałajstwo! zawołała niezmiernie zirytowana. — Co tu szkody, co zniszczenia. . Tak wy pilnujecie!?

Osłupiałego z przerażenia Józka porwał lokaj i prawie w powietrzu uniósłszy za furtkę, rzucił na ziemię i w złości kopnął nogą.

Krzyk przeszywający z piersi niespełna sześcioletniego Don-Kiszota, zranionego na ciele czy na duszy, rozległ się w powietrzu. Nauczyciel doń przyskoczył.

Podniósł chłopca, przemówił doń łagodnie, serdecznie, wypytał szczegółowo o dzieje pogoni za marą i wyrzekł do siebie z gorzkim uśmiechem:

— On we dworze szuka anioła stróża. . Ha, ha, ha! we dworze!. .

* * *

Poturbowany, osowiały, zbiedzony zawlókł się Józko na pastwisko. Położył się na trawie a łzy spływały po jego twarzyczce. Płakał długo, konwulsyjnie, a jednak mu nie ulżyło. Ciężka zmora tłoczyła jego serce, dławiła go boleśnie.

Obudziła go matka, którą zadziwiło, że mimo spóźnionej pory nie wraca do domu.

Ku największemu swemu przerażeniu dostrzegła ona, iż kilka gęsi zaginęło.

Rozpacz ogarnęła te nędzarkę. Zwaliła chłopca na ziemię i niemiłosiernie zaczęła okładać.

— A ty taki, ty owaki. .

— Matuś najmilejsza! wołał on, zanosząc się od płaczu. — Ja myślał, co anioł-stróż czuwa. .

Kobieta w jeszcze większą wpadła pasyą, i targając go za włosy, grzmocąc pięściami wołała:

— A ty od czego masz oczy? a ty na co masz ręce? Sam nie masz rozumu?

* * *

Doznane zawody i bole odchorował Jóźko obłożnie. Ozdrowiawszy — zmienił się całkowicie. Pomny gorzkiego doświadczenia spuszczał się już zawsze na własne oczy, na własne ręce, kierował się li własnym rozumem i nigdy nigdzie nie szukał już aniołów-stróżów...

W OGNISKU.

Dlaczego puszczamy między Was, Koledzy ten szmat bibuły drukarskiem czernidłem pokrytej, dlaczego, zuchwałe śmiałki, porywamy się na zadanie, na którem już tęższi od nas poprzednicy nasi karki pokręcili i występujemy do walki z olbrzymią masą oporu, zalegającą nasze otoczenie, z siłą apatyi i inercyi, którą przeciwstawi nam ogół, ze spodleniem, które wyzwie do energicznej przeciw nam reakcyi — liczne jednostki?

Chcemy Was Koledzy pozyskać dla hasła, które uznaliśmy za jedyne panaceum na wszystkie nasze nędze i niedobory. — Hasłem tem: Uczmy się! Na pozór nie głosimy Wam nic nowego, to samo słyszycie ze wszystkich stron, od różnych powołanych i niepowołanych kaznodziei i kierowników. Wszystko zależy od tego, jak kto to hasło pojmuje. My chcemy ten wytarty i wyszarzany liczman zdawkowego morału zamienić na monetę pełnej wartości, o stęplu nowym, wyraźnym i niedwuznacznym, w ten stary wór wlać wino świeże i krzepiące.

Uczmy się! — Tak, ale pamiętajmy, że jest wiedza żywa i jest zmartwiała formuła, która do praw wiedzy rości sobie pretensye, i nie wahajmy się w wyborze między nimi. Uczmy się — lecz nie szukajmy żywej wiedzy tam, gdzie płodne, jak słońca promień, prawdy natury gwałcą się dla niskiego interesu ludzi, którzy narzucają nam objawienie, usiłując przez to moralność całą utrzymać w swym monopolu. Fałszywe te doktryny, które pierś wystudzają a ideały w zarodku niszczą, odpychajmy od siebie ze wstrętem, a dla tego, który chce je w nas wpajać, miejmy całą wzgardę, na jaką stać młode, prawe dusze. „Jego myślą, jego mową nie odetchnie pierś szeroka, nie pomyśli jego głową, skier nie weźmie z jego oka!"

Uczmy się — ale prawdy. Gdy głoszą nam, że wszystko idzie jak najlepiej w obecnym najlepszym z możliwych ustrojów społecznych, — my z analizy wytworów krwi i potu ludzkiego wyprowadzić starajmy się wnioski zgodne z bólem życia i sprawiedliwością, choć może niemile rażące uszy tych, co dziś „obsiedli życia biesiady". Nie zasklepiajmy się w ciasnem kole fachu lub specyalności, żeby się później zamknąć w żółwiej skorupie karyery i posady, nie uczmy się jak chińscy (i nietylko chińscy) kandydaci na mandarynów, których nauka polega na wybębnieniu przepisanej do egzaminu dawki wiedzy, ale wchłaniajmy w siebie ideje świeże i życiodajne, przerabiajmy je pracą własnego mózgu, przejmujmy je w krew i soki nasze, — niech się to w nas skrystalizuje w płodne zasady, które prą uczciwą duszę na pole czynów obywatelskich, pełnych trudu i poświęcenia. Nie zamieniajmy głów naszych w magazyny wiadomości bez krytyki i chaotycznie nagromadzonych, ale uczmy się przedewszystkiem kraju i ludu naszego, wpatrzmy się w jego łachmany, odczujmy trawiące go nędze i bóle, zrozumiejmy jego potrzeby i położenie, oderwane rozumowanie nasze zestawiajmy z warunkami jego bytu, żebyśmy w przyszłości do pracy nad nim i dla niego byli zdolni.

Trzebaby pokolenia tytanów a nie sił dzisiejszych pigmejskich, żeby podołać ogromowi zadań, jakie na dzisiejsze pokolenie polskiej „inteligencyi" spada. Dwóch rzeczy: zapału i pracy nam potrzeba dla spełnienia tych obowiązków. Praca bez świętego ognia idei musi wyrodzić się w sobkostwo: lepiej, żebyśmy byli rozumni szałem, niż rozsądni podłością. Zapał sam bez pracy słomianym ogniem spłonie, nawet zarzewia nie zostawiając. Dopiero w ich połączeniu znajdziemy potrzebną nam siłę. Wiedza to potęga — ale jeśli wiedza ma być dźwignią, nie już do podważenia z posad bryły świata, ale do podźwignięcia brzemienia trudów, które nas czekają, to dźwignia ta musi być poświęceniem hartowna a nie egoizmem przerdzewiała.

. . . .

Nie sądzimy wcale, żeby w podjęciu, a cóż dopiero w przeprowadzeniu tych prac i zadań, które według nas mieszczą się w haśle „uczmy się", „Ognisko" nasze decydującą odegrać miało rolę. Płomyk, który w nim rozniecili śmy, uważamy tylko za tę odrobinę energii czynnej, która olbrzymie masy sił w utajeniu drzemiących może wyzwolić i wyswobodzić — chcemy dla tych nielicznych, co garną się do światła i rwą do pracy być bojowym okrzykiem zachęty i wytrwania; — dla ogółu „śpiących trupio" — być „przebudzeń gromem", — dla tych co już w egoizmie spodleć czas mieli — stygmatem hańby wyciśniętym na twarz.

Nie obawiajcie się, żebyśmy Was Koledzy dymem kadzideł zadusić chcieli, nie spodziewajcie się od nas „politycznej" apologii dzisiejszego stanu młodzieży. Piszemy tu w „Ognisku" od siebie i dla siebie, — tj. od młodzieży i dla młodzieży, — więc biczem krytyki bezlitośnej, naprzemian z drwiny i z wzgardy, z satyry i z oburzenia splecionym, smagać będziemy i chłostać wszystkie młodzieży tej wady, braki, chyby, śmieszności i podłości, bo i tych nie braknie. Równie ostrej i bezwzględnej krytyki naszego działania, spodziewamy się i żądamy od Was, jako spełnienia koleżeńskiego obowiązku. Godłem naszem będą jednak zawsze — więc i Wy je przyjąć powinniście — słowa wieszcza „jeżeli gryzę to sercem gryzę".

. . . .

Do Was zwracamy się także studentki Polki — pracujące w zagranicznych uniwersytetach. Społeczeństwo nasze nie może, lub nie chce Wam podać pomocnej dłoni w twardej walce o byt i wiedzę. Nasze uni-

wersytety zamknięte dla Was, stanowiska społeczne ograniczone, uprzedzenia towarzyskie wciskają Was w ciasny obręb „rodzinnego ogniska“, lub ciskają na pastwę nędzy i spodlenia. Między nędzą a upadkiem krąży liczny zastęp naszych kobiet, zmuszonych do łamania się z losem o kęs chleba; dążenia ich bezwiedne, nieuświadomione, niezorganizowane. Wy pierwsze, spragnione światła i świeżego powiewu czasu, utorowałyście sobie wyjście z ciasnych, zapleśniałych, dusznych ścian gynyceów, żądając miejsca na zebraniu świata. Rozproszone po obczyźnie, zdala od kraju, pracujecie i walczycie tam, gdzie walka o wyzwolenie wasze drga potężnie i wytrwale. Do nas zaledwie czasem doleci słabe echo waszego szczytnego udziału w tym boju i trudzie — a i was rzadko dochodzi zachęcający głos z rodzinnego kraju. Wam tedy, nieliczne bojowniczki wyzwolenia, przesyłamy gorące słowo zachęty i wytrwania — z prośbą, abyście waszą wiedzą i wiadomościami o waszem działaniu popierały koleżeńskie dążenia falangi skupiającej się koło „Ogniska“.

. . . .

Żywą sympatyą odpowiadamy na echa lwowskiego wiecu (patrz korespondencyą ze Lwowa na str. 20). Fakt to doniosły w życiu młodzieży — świadczy on o pewnem zsolidaryzowaniu sił młodych, dowodzi ich wrażliwości na kwestye poważne, obchodzące cały myślący ogół, rzuca nakoniec szeroką smugę światła na nasze stosunki. Szczere współczucie wyrażamy kolegom Budzynowskiemu, Kasparkowi i Kozłowskiemu: wyrwanie ich z grona towarzyszy stratą będzie chyba stron obu.

Biorąc rzeczy idealnie, możeby i należało zakwestyonować racyą bytu wieców akademickich: wszystko może układać się tak pięknie — młody nie potrzebuje boleć, myśląc o doli kraju; wszak szczęśliwy harmonią bytu kwitnie on jak nieprzejrzana, bujna niwa — niech starzy dla rozrywki zbiorą dar łaskawych niebios, a obdzieliwszy się równo i suto, i nas także spieszą obdarzyć; krzywdy i nędzy niema na świecie, tryumfalny hymn narodów rozpędza chmury niebieskie; gdzieś tam w cichem ustroniu pieszczochy natury zgłębiają prawa mądrości; z katedr płyną bogate zdroje, pełnej, czystej, promiennej wiedzy — duszy tak błogo, jak kwiatu w słońcu majowem.... O gdyby tak było, pocóż ta hałaśliwa, choć nudna gra w parlamenty? Za poradą „Czasu“ niech się młodzież „uczy i szuka niewinnych rozrywek“, a gdy się już wyuczy dostatecznie, społeczność pochwyci ją sama w czułe objęcia i znów dostarczy przyjemnej pracy, urozmaiconej zabawą. Jaka szkoda, że w radach „Czasu“ tkwi wstrętny fałsz, tem boleśniejszy, im bardziej biedną jest rzeczywistość! W naszych warunkach wiec lwowski każe tylko pragnąć, żeby poruszone tam kwestye, na przyszłych wiecach mogły być rozwiązane gruntowniej i skuteczniej. Dziwimy się tylko, dlaczego koledzy nasi zapragnęli na katedrach rabinów? Talmud może być rzeczą arcy-mądrą, lecz dziś już wyzwoliła się filozofia z piekielnych strachów i szalonej intuicyi; nie krzywdźmy myśli ludzkiej, nie darmo doświadczeniem wydzierała ona tajemnice naturze, czasu szkoda wertować biblię i sedery — do oceny ich historycznego znaczenia, znajdą się i bez nas zapaleni specyaliści, wobec ogromu pozytywnej wiedzy myśmy za ubodzy na taki zbytek. Pominąwszy tę kurtuazyą dla Mojżesza, solidaryzujemy się z wiecem w zupełności. Szczególnie akcentujemy wnioski naszych kolegów o potrzebie wyraźnej i wyrażanej łączności między nami, jako przyszłymi obywatelami kraju. Gdyby można tu było liczyć na przychylność władz, należałoby wykonawczemu komitetowi wypracować odpowiedni statut i przedstawić go do zatwierdzenia. W granicach kwestyi, najgwałtowniejszych dla nas, bodaj już na dziś tylko, peryodycznie organizowane wiece mogłyby nam przynieść rzetelną usługę. Jednostkowa świadomość pomnożona wielokrotnie w obradach wspólnych, przy sumiennych i ścisłych referatach, mogłaby być skutecznym środkiem na niski u nas poziom umysłowy i apatyą, mogłaby zmienić dotychczasowe nasze stowarzyszenia w kierunku poważniejszej pracy nad sobą, zamiast rozpraszania się na „występy“. Najlepsze nawet usiłowania jednostek nie potrafią w takiej mierze zaradzić brakom naszym, jak solidarność ogółu, zachęconego i przekonanego we wspólnych obradach. Współudział życzliwszych nam i lepszych profesorów, mógłby być dla wieców pożyteczną podporą w tym względzie. Łączność między wyższymi zakładami naukowymi, rozbudziłaby w młodzieży szlachetne współzawodnictwo w samokształceniu; łączność sierocych grup naszych kolegów, rozrzuconych po dalekiej obczyźnie, przypominałaby im żywiej obowiązki względem kraju — wzajemne informacye i roztrząsanie jednych i tych samych kwestyj na wielu wiecach, wpłynęły by dodatnio na siłę i jednolitość naszych uczuć i przekonań. Rozumnie opracowana kwestya organizacyi wieców, zyskując w Austryi prawo obywatelstwa, może być wysoce pożyteczną, bezpośrednio nam, a pośrednio i całemu społeczeństwu.

Nie znamy dokładnie narad i uchwał co do teki pana Gautscha. Zdaniem naszem winna tu być zachowana ścisła oględność — zapał może tu przybrać cechy próżności, a śmieszność koguciego tonu i nam uwłacza i nieprzyjazne żywioły nie omieszkają jej wyzyskać przeciw nam samym. Nic bez motywów poważnych!

Wysoce dodatnim objawem lwowskiego wiecu jest solidarność młodzieży polskiej z ruską. Telegramy tutejszej „Hromady“ i wiedeńskiej „Siczy“ przekonywują nas, że idąc uczciwą drogą, znajdziemy braci w Rusinach. Jak wobec tych telegramów niewinnie wygląda nasza Czytelnia! Być może jednak, że dezorganizacya jej, która nie pozwoliła zainteresować się żywiej wiecem, ocaliła jej honor. Wszak i tu mógłby się znaleść jaki p. Łaszowski, Baranowski, Gumplowicz etc. — Nie możemy pominąć milczeniem ich „otwartego listu“ z d. 23 Marca, gdyż fakt taki zbyt ubliża polskiej młodzieży, zbyt boli nas samych. — Czy to przez potulność wobec władzy, niechętnej wiecowi, czy przez podrażnioną miłość własną, że wiec nie złożył hołdu „Ich Oficyalno-

ściom" — Wydziałowi Czytelni, czy też wprost dla tego, że wiec wymagał od uczestników pewnego rozwoju inteligencyi, — dość, że oburzony p. Łaszowski, na czele części Wydziału ogłosili światu przez oficyalne dzienniki, że odłączają się stanowczo od koleżeńskich obrad. Nie możemy przypuścić, jakoby rzecznicy Wydziału musieli bronić się od posądzeń o „agitacye" wiecowe, groźne rzekomo dla Czytelni: byłoby to ubliżeniem trafności sądu C. K. Władz o zdolnościach ludzi. Bądź co bądź, protestujący otrzymali votum nieufności kolegów z Wydziału i w „otwartym liście" postanowili „uzasadnić" swą wyjątkowość. Mamy niestety przed sobą te „zasadnicze" frazesy, które mówią li tylko o sprzeczności wzajemnej i niezgodzie z faktami. Naczelny zarzut listu przeciw inicyatorom wiecu jest ten, że nie prosili oni o jego zwołanie ani p. Łaszowskiego, ani Wydziału Czytelni, „jedynej prawnej reprezentantki polskiej młodzieży akademickiej we Lwowie"; „dopiero za ich oficyalnem zezwoleniem wolno by było inicyatorom" i t. d. Wobec tego, że oprócz „Czytelni" uniwersyteckiej istnieje jeszcze „Bratnia Pomoc" na Politechnice, „Akademiczne Bractwo", „Akademiczeskij Kružok" — także p r a w n e reprezentantki młodzieży — pretensya ta, według nas, stanowczo ubliża władzom państwowym, które przecież nie ustąpiły jeszcze specjalnie Wydziałowi Czytelni d o z o r u nad ogółem lwowskiej młodzieży. — Pan Łaszowski powinien był wprzód postarać się dla Czytelni i jej Wydziału o tytuł C. K., tymczasem on sam oficyalnie do tego tytułu jeszcze nie ma prawa. Ale ze względu na dobre chęci p. Łaszowskiego w tym kierunku, można mu darować ten błąd, i przejść do jego „szlachetnych" — zwierzeń, które posłużyły za oś do „szlachetniejszych" jeszcze kombinacyj „Czasu". Les beaux esprits se rencontrent! „Skryte agitacye", „i n d y w i d u a, które zawładnęły" wiecownikami, wszystko to nie jest poparte ani jednym faktem; owszem, przedmiot obrad na kilka dni przed wiecem był ogłoszony w pismach („Kur. Lw."). Przeciw insynuacyom tym, podpowiedzianym „Czasowi", a wylęgłym w gorliwej wyobraźni autorów „Listu", nie chcemy nawet bronić wiecu, są one wprost zbyt nikczemne, by zestawiać z nimi uczciwe chęci młodzieży lwowskiej.

Gdzie znalazł p. Łaszowski „k o s m o p o l i t ó w, nie uznających wcale narodowości i lekceważących nasze dzieje, i tradycye narodowe?" Wszak na wiecu właśnie wykazywano lekceważenie dla dziejów narodowych, jakie rozpleniło się w naszych szkołach (Kol. Reiter), wszak na wiecu właśnie potępiano w lekarzach, kończących nauki w Wiedniu, oziębłość dla spraw narodowych, wszak zarzucano im germanizatorskie zapędy! Zbyt wiele zabrało by czasu, gdybyśmy chcieli oceniać egzorcyzmy opinii galicyjskiej, wobec kosmopolityzmu; żeby jednak zabić w jej oczach kolegów z wiecu, autorowie „Listu" fałszują fakty.

Powyższe cechy dostatecznie charakteryzują poglądy byłego Wydziału Czytelni. Stanowisko swoje określają oni jednak jako „narodowo-postępowe". — „Postęp", czytamy dalej — „pojmujemy nie na gruncie sztucznie rozbudzanych namiętności (?) i wyzyskiwania dla swych ubocznych celów niedoli ludzkiej (?!!), lecz w rzetelnej, cierpliwej pracy i w spokojnem roztrząsaniu tego, co nas gniecie i na uchylenie czego, „stojąc wiernie przy Unii i trzymając się zasad r. 1863 chętnie pracę całego życia naszego poświęcić jesteśmy gotowi, dewizą zaś naszą natchnione (!) słowa wieszcza (?!):

„Wo imia Otca i Syna, to nasza mołytwa"
„Jako Trojca tak jedyna, Polszcza, Ruś i Łytwa".

W jaki sposób godzi się „spokojne roztrząsanie tego, co nas gniecie" — z „zasadami 1863 r."?, ile cech postępu zawarto w tym ciężkim frazesie? — niech za to odpowiada logika jego autorów. Wygodnie to czasem posługiwać się „politycznym" frazesem, który wyodrębnia niby p. Łaszowskiego od „nieproszonego" niby „Czasu" a zarazem daje postępowi treść przebrzmiałej organicznej polityki z najbardziej podkurczonym ogonem. Niewolno jednak naszej młodzieży fałszować w sposób taki kwestyi ruskiej. Jeżeli Tymko Padura rozpływał się w czczych dźwiękach takich „mołytw", to on przynajmniej szczerze pragnął wspólnej walki, więc pomimo zaślepienia pozostał szlachetnym; niech sobie i p. Kostecki wieszczy — nie bałamuci to już dziś nikogo, ale młodzież polska musi się z życiem rachować i nie rzucać na wiatr „mołytw" tam, gdzie

„Лани братами оремо
І їх сльозами поливаєм."

„Chcą" p. Łaszowski et Comp. „pozostać wiernymi duchowi tradycyi historycznej, której Polakom nie godzi się przeniewierzać", „nie odmawiają Rusinom prawa do ich rozwoju".... ale „z całą energią będą odpierać zamachy wymierzane na uszczuplenie praw naszych". Jakie prawa tradycyjne chce obronić p. Łaszowski dla Polaków? — czy prawo stawiania jezuickich klasztorów na ruskiej ziemi, czy też prawo propinacyi? Dość, że praw tych my się zrzekamy, jako niegodnych narodu, który umie szanować własne i cudze nieszczęście. Na nieuśpione i czujne „o b r o n n e stanowisko Polaków" wobec „agitacyj ze strony obozu ruskiego" w chęci „wyrugowania żywiołu polskiego z Galicyi", wobec „ruszczenia Polaków", „umizgów ze strony bezwzględnych separatystów Rusinów" — słusznie odpowiedziała młodzież ruska w Nr. 60 „Diła", gdzie, na hańbę naszą, porównywa ona poduszczania p. Łaszowskiego z Bismarkowską inauguracyą rugów poznańskich. Notujemy tylko za przykładem „Kurjera Lwowskiego, że „narodowo-postępowe" stanowisko autorów „Listu" najlepiej wyświeciła solidarność ich z „Akademiczeskim Kružkom". — Gdy „bezwzględni separatyści Rusini", w braterskiej zgodzie z Polakami wspólnie obradowali na wiecu, moskalofile równolegle z Czytelnią zaprotestowali przeciwko niemu. Jak ci obawiali się „polskiej intrygi", tak p. Łaszowski przeraził siebie i „Czas", fantastycznymi „i n d y w i d u a m i".... Kto więc stał się „rozkładczym czynnikiem dla narodowości polskiej w Galicyi?" Zostawiając kwestyą ruską na

kiedyś, podpiszemy się tymczasem pod słowami odpowiedzi ruskiej młodzieży na „List Otwarty“:

> »Ми кождого, хто шчиро на основах демократичних хоче працьувати дльа крају і народу, уважајемо повноправним обивателем земли нашоі, а тільки таких непотребів, шчо жијуть межи нами, не старајуцьцьа нас пізнати та зрозуміти ј рук до спільноі праці приложити, та шче ј накликујуть до »оборонноі постави«, — тих ми з повним правом можемо назвати »интрузами«.

Przeglądając najstaranniej prace wiecu „w całej jego rozciągłości,“ nie znajdujemy tam nic, coby „nie licowało z godnością akademicką“ i było „jeżeli nie wprost antipolskie, to jakby umyślnie na skompromitowanie młodzieży polskiej obliczone“. Owszem, Wiec szczerze myślał o rozszerzeniu zakresu nauk, (Akademia rolnicza, Wydział handlowy, medyczny fakultet), myślał o obronie praw młodzieży przeciw zbyt krępującym przepisom; nadając iście obywatelską godność młodzieży, żądał prawa głosu dla niej samej przy rozdawnictwie stypendyów, wciąż miał na względzie myślących przyszłych obywateli kraju. Zapewne p. Łaszowski et Comp. upatruje wraz z „Gazetą Narodową“ poniżenie akademickiej młodzieży w projektowanych strejkach? Sami nie jesteśmy przekonani, że będą one najskuteczniejszym środkiem przeciw wyzyskiwaniu naszych kolegów — praca młodzieży zbyt jest niezorganizowaną, jak na to; zbyt wiele przytem nie-akademickiego piśmiennego proletaryatu, który łatwo mogą wyzyskiwać p. t. mecenasi; nie sądzimy jednak, by strejk ubliżał naszej godności. Stanąć w jednym szeregu ze strejkującym robotnikiem, znaczy to zbratać się z człowiekiem, który pomimo rozpaczliwego położenia uczciwie broni się krzywdzie. Naprawdę mniej to nam ubliża, niż protekcya. Tu nie ugniemy karku, zachowamy niezależność ducha. Patryarchalne stosunki, zachwycające „Gazetę Narodową“ — dobre czasem bywają, lecz fałszem są tam, gdzie za siedm godzin dziennej pracy, dostaje biedak 8 złr. miesięcznie. W taki sposób nie układa się „niewidzialnego pomostu między młodszem a starszem pokoleniem“ i nie tworzy się „harmonii społecznej“. Bądź co bądź, jeżeli w rozbiegu sił młodych zrobili nawet Koledzy nasi jaki krok nietaktowny, to w każdym razie p. Łaszowski et Comp. nie powinni by chyba mówić o godności akademickiej. Dopuszczać do głosowania za votum ufności dla siebie ludzi nie mających prawa głosu, (będąc nb. tak oficyalnymi), własnymi głosami przechylać szalę na swoją korzyść, mieć jeszcze czoło dziękować Kolegom za wywotowane przez samych siebie zaufanie, i cofnąć się wtedy dopiero, gdy dzienniki kursywą skonstatowały fałszerstwo — to nie licuje z godnością wprost — uczciwego człowieka. A u młodzieńca duma szlachetna najsilniej powinna być napiętą. Ani reklamacye, że ze straceniem urzędu przez własną osobę „upadnie idea polska w Czytelni“ (!!!), ani komplementy rycerskiego „Czasu“, który postępowanie takie znajduje „przyzwoitem“ i „pełnem godności“, — godności tej nie ratują. Wobec tego nie dziw, że Politechnika, „Akademiczne Bractwo“ i pięćdziesięciu na razie członków Czytelni musiało zerwać z tą instytucyą, dopóki się jej Wydział nie zmieni. Twierdząc, że votum nieufności wywołanem było jedynie tylko protekcyą ze strony pism konserwatywnych, autorowie „Listu“ ubliżyli bardzo wotującym kolegom — Panowie Łaszowscy mówią za samych siebie...

SPRAWOZDANIA I KRYTYKI.

Władysław X. Opolski, *zarys biograficzny przez Ernesta Breitera.*)*

Historyografia nasza mało dotychczas wiekiem XIV. się zajmowała, to też z prawdziwą radością i uznaniem należy nam przyjąć monografią p. Ernesta Breitera, b. członka seminaryum Dr. Prof. Liskego, o Władysławie X. Opolskim, jednym z najwybitniejszych dyplomatów całej wschodniej Europy w XIV. w.

Postać to w każdym razie niezwykła. Potomek zniemczonej i rozdrobionej linii szląskich Piastów — krewny po matce Kaźmierza W. i Ludwika węgierskiego — nie zadawalnia się swą drobną szląską substancyą, ale powodowany wyższą ambicyą — niestety ambicyą karyerowicza — udaje się w młodości na dwor możnego kuzyna, króla Loisa i od tego czasu oddaje się w zupełności prowadzeniu interesów i polityki potężnego domu Anjou.

Król Ludwik, głowa tej dynastyi, należy bezsprzecznie do najznakomitszych monarchów w XIV. w. — X. Opolski więc, który obok niego i jego córki Maryi zajmował stanowisko — niejako »pierwszego ministra« — musiał już tem samem wywierać wielki wpływ na losy Węgier i Polski. Wskutek tego monografia o Opolczyku należy do trudniejszych zadań historycznych i wymaga dokładnego poznania dyplomacyi XIV. w., jako tła, na którem oprzeć się powinna i musi.

P. Breiter skromniejsze postawił sobie zadanie — on nie pisze monografii o Opolczyku, ale tylko rys biograficzny tego księcia-dyplomaty, „który ma na celu przedstawienie żywota (sic) X. Opolskiego w całości od kolebki aż do grobu“. Nie ma autor „pretensyi do opowiadania szczegółów nieznanych, choć i takich nie brak“ i w tem tylko „może szukać pewnego zadowolenia, że niniejszy zarys jest pierwszą próbą, która ma na celu przedstawienie całego żywota (sic) X. Opolskiego“. Pożyteczną jest rzeczą pisać zarysy biograficzne uczonych, poetów, ostatecznie nawet mniej wybitnych monarchów i polityków, ale kreślić „zarys biograficzny“ tak wybitnej osobistości jak Opolczyk — to zadanie chyba mniej wdzięczne i dla historyi mniej potrzebne. Ostatecznie rzecz byłaby możliwą, gdybyśmy znali więcej szczegółów z prywatnego — domowego życia X. Opolskiego, tych jednak nie mamy, a pisać „zarys biograficzny“ o tym księciu na podstawie jego działalności publicznej — to prawie niepodobna. Jakoż ten sam fakt, że ów „zarys biograficzny“ o Opolczyku zajmuje u autora 15 arkuszy druku, że wciąga w swój zakres de facto całą grę dyplomatyczną XIV. w., dowodzi, że p. Breiter mniej zamierzał napisać a więcej napisał; ale nie dlatego, że tak chciał, lecz dlatego, że tak musiał. Rozprawę swoją podzielił autor na siedm rozdziałów, na końcu dodał charakterystykę Opolczyka.

Rozdział I. to okres lat dziecinnych i młodzieńczych X. Opolskiego od kolebki aż do r. 1372 t. j. do czasu, kiedy udał się na dwór węgierski. Daty urodzenia X. Opolskiego nie znamy, wiemy, że drugi brat jego urodził się 1337 r., a na podstawie tego wnioskuje autor, że X. Władysław ur. się przed 1330 r. Tu należałoby autora zapytać, dlaczego Opolczyk nie mógł się urodzić po 1330 r., choćby w 1336 r.? Zdaje się nam, że nawet od »zarysu biograficznego« możemy wymagać ile możności dokładnego oznaczenia daty urodzenia osobistości, którój życie opisujemy.

W 1339 r. niektórzy panowie Małopolscy mieli stawiać X. Władysława na kandydata do następstwa po Kaźmierzu W. W uwadze (Nr. 3) dodaje autor, że wiadomość tę podaną przez Długosza uważa Dr. Semkowicz za zmyśloną. Autor przyjmuje ją za

---

*) O pracach wychodzących z pod pióra młodzieży, szczególnie akademickiej, »Ognisko« obszerne będzie zamieszczało sprawozdania. *Red.*

faktyczną ale nie uzasadnia, dlaczego tak czyni. Tu już możemy zrobić autorowi zarzut ogólny, który nasuwa się zaraz po przeczytaniu jego rozprawy, że p. Breiter kwestyj spornych nie uznaje, stawia często nieudowodnione twierdzenia jako pewniki, a czego rozstrzygnąć nie może, to pomija milczeniem. Wskutek tego praca jego jest może łatwiejszą do przeczytania, ale czy na tem historya cokolwiek zyskuje — na to chyba odpowiadać nie potrzeba. Opolczyk już w 1355 r. szczyci się łaską stolicy apostolskiej, dlaczego — nie wiemy. W 1356 r. umiera ojciec X. Władysława, X. Bolko II; księstwem Opolskiem dzielą się dwaj bracia — nasz Opolczyk i Bolko III. Odtąd do końca rozdziału I-go kreśli p. Breiter wcale dokładnie i systematycznie rządy szląskie księcia Władysława.

Rozdział II-gi obejmuje przeciąg lat od 1359 — 1372. Młody Opolczyk niezadowolony zaściankową szląską działalnością, udaje się na dwór możnego kuzyna króla Loisa i wkrótce bierze w swe ręce ster interesów Węgier i domu Anjou. Poznajemy tu Opolczyka jako dyplomatę średniowiecznego — przebiegłego o tyle, o ile pozwalał na to niemachiawelistyczny kierunek średniowiecznej dyplomacyi. Rozdział ten pod względem ścisłości w używaniu źródeł i nagromadzenia szczegółów należy do najlepszych w rozprawie p. Breitera — chroma jednak niestety pod względem ogólniejszego na rzecz poglądu. Po przeczytaniu 1½ arkusza druku (Rozdział II.) mimowolnie nasuwają się nam pytania: *a)* jaki był cel i kierunek dyplomacyi króla Ludwika i *b)* jaki stosunek łączył tego króla z Opolczykiem. W 1372 r. król Węgier, a od r. 1370 i Polski — nadał Opolczykowi w zarząd i posiadanie ziemię czerwonoruską, do której rościły sobie zarówno pretensye korony Węgier i Polski, połączone chwilowo na skroni przemożnego Andegaweńczyka. Od r. 1372—1378 rządzi Opolczyk na Rusi Czerwonej; okres tych rządów stanowi III. rozdział rozprawy. Przez Ruś dostał się Opolczyk do Polski — wmięszał się w interesa państwa Piastów — Z tego względu, jakoteż z wielu innych jeszcze, ten rozdział omawiający ruskie rządy księcia Władysława ma pierwszorzędne w całej rozprawie znaczenie, niestety, nie możemy wydać o nim korzystnego sądu. Najpierw nie rozumie autor sposobu nadania Rusi Opolczykowi. Twierdzi, że król Ludwik dał ziemię tę księciu w zarząd namiestniczy, a przecież sam fakt, że Opolczyk od 1372 – 8 stale tytułuje się w dyplomach *„dominus et haeres Russiae“* powinien był autora koniecznie doprowadzić do wniosku, że nadanie Ludwika z 1372 r. było nadaniem lennem. Fakt, że autor tego nie zrozumiał zmusza nas do zrobienia mu ciężkiego zarzutu, że on — historyk wieków średnich, nie zna dokładnie prawa lenskiego (Lehenswesen). Opolczyk zaprowadza porządek w hierarchii katolickiej ruskiej, popiera handel i miasta, tworzy kasztelanie, zaludnia kraj przez liczno nadania ziemi w lenna, wogóle w głównych zarysach nie wiele odstępuje od rządów poprzednika swego na Rusi — króla Kaźmierza Wgo; mimo tego p. Breiter twierdzi stanowczo, że Opolczyk w myśl dyplomacyi króla Ludwika wprowadził na Ruś Czerwoną organizacyą węgierską. Prędzej możnaby sądzić, że książę chciał Ruś zorganizować jako osobne państwo, bo wiemy, że odnowił zapomniany od czasu książąt ruskich urząd sędziego nadwornego (Piotr Brun). Zdanie, że król Ludwik przez nadanie Rusi Czerwonej Opolczykowi *w lenno* chciał przygotować przyłączenie tego kraju do Węgier, nie jest własnością autora, lecz powszechnem zdaniem naszych historyków z wyjątkiem Kaźmierza Stadnickiego, którego twierdzeń nie uważa jednak p. B. za potrzebne zbijać — zdaje nam się najniesłuszniej, bo co do nas przynajmniej, to najwięcej jeszcze przychylilibyśmy się do wniosków tego właśnie historyka. Często myli się autor w rozdziele III. w szczegółach. Spór biskupów Lubusza z stolicą apostolską — nazywa sporem tychże biskupów z Franciszkanami; mówi, że Kaźmierz W. tajemnie postarał się o utworzenie schizmatyckiej metropolii halickiej, podczas gdy on to całkiem otwarcie robił. Bunt Det'ka bezpodstawnie uważa za reakcyą przeciw zmianom administracyjnym króla Kaźmierza w ziemi przemyskiej, podczas gdy źródła mówią o nim, jako o reakcyi części bojarów przeciw rządom polskim. Kaźmierza Wgo, dobroczyńcę miast czerwonoruskich uważa autor za takiego, pod którym miasta te podupadły, i dopiero Opolczyk podniósł je do „dawnej“ świetności, t. j. do *jakiej dawnej* świetności?!! Jaśka Mazowszanina nazywa Rusinem, Beńka z Kuchar na Zabokrukach — Polaka — łączy, nie wiemy dlaczego, z Merbotą z Zyrefy, który (może być, że był Szlązakiem. Szlązaków z reguły identyfikuje z Niemcami i naprowadza ich na Ruś, bo sądzi, że starosta ruski Viktor i przemyski Andreaszko byli Niemcami (Szlązakami) etc.

W 1378 r. odebrał — jak mówi p. Breiter — Ruś Czerwoną Opolczykowi król Ludwik. Odebrać jej nie mógł, bo była dziedzicznem lennem, ale mógł zamieniać za inne lenno i tak też uczynił. Wziął Ruś a Opolczykowi nadał temsamem prawem lenskiem posiadłości w Wielkopolsce; zamiana mniej korzystna dla księcia, który w 1386 r. raz jeszcze z prawami do posiadania ziemi czerwonoruskiej wystąpił. W 1378 r. został Opolczyk wielkorządcą Polski, ale szlachta polska skłoniła króla do odwołania go z tego urzędu. Na tym fakcie t. j. na IV. rozdziale w pracy p. Breitera, kończy się I. część rozprawy o Opolczyku, chociaż autor wcale tego nie zaznaczył. Do 1378 r. Opolczyk wznosi się ciągle aż do godności wicekróla całej Polski, od r. 1378 spada powoli z tej wysokości i przy końcu życia musi się zadowolnić swą małą szląską substancyą, którą w młodości pogardził. W rozdziale IV. powinien był autor fakt ten zaznaczyć i zarazem zrobić pewną reasumpcyą z dotychczasowej działalności Opolczyka, a także wskazać na jego stosunek do króla, bojarów ruskich, szlachty polskiej, do stanów niższych, i zastanowić się nad tem, jakie były ostateczne cele dyplomacyi księcia Władysława. Gdyby autor żądania te był zaspokoił, to temsamem druga część jego rozprawy (t. j. rozdziały V. VI. i VII.) nie wypadłaby tak blado. Stało się inaczej, autor nie zdał sobie sprawy z ogólnej działalności Opolczyka do 1378 r., to też nie dziw, że począwszy od rozdziału V. rozprawa jego przedstawia się znacznie słabiej, niż do tego rozdziału.

Przy końcu rozprawy podał autor charakterystykę X. Opolskiego, w której występują najwyraźniej wady całej biografii. Do 1378 r. — Opolczyk jest mniej więcej nieźle scharakteryzowany, chociaż nie zdaje się nam aby w tym czasie był tylko narzędziem w rękach Ludwika bez własnego zdania i woli, od r. 1378 — charakter Opolczyka według autora zmienił się na gorsze i to tak dalece, że p. Breiter nie waha się nazwać go „zdziczałą płonką wielkiego drzewa Piastów«. Dziwna zaiste, że dyplomata, który przeszedł wyborną szkołę w życiu i polityce przy boku króla Loisa, który do 1378 r. był niejako pierwszym ministrem tego monarchy, po 1378 r. stał się nagle »zwykłym prawie rabusiem, rozbijającym kupców po drogach, wymuszającym od nich okup i zapłaty«!?!

Kaźmierz Józef Gorzycki.

„Ściśliwość wodoru“, oto tytuł ostatniej pracy ś. p. profesora Wróblewskiego. Nie podobna nam w ciasnych łamach Ogniska umieścić obszerniejszego sprawozdania z tej cennej pracy, zaledwie w kilku słowach podamy czytelnikom wyniki wytężającego trzyletniego trudu przedwcześnie zgasłego uczonego. Tytuł wskazuje, że przedmiotem badania był wodór, ciało, które aż dotąd zajmowało wyjątkowe stanowisko wśród gazów. Wiadomo, że gdy pewnej masie gazu nadajemy coraz to mniejszą objętość, wtedy wzrasta prężność w ten sposób, że iloczyn objętości i prężności staje się coraz mniejszym, dochodzi do pewnego minimum, by przy dalszem ściskaniu gazu rozpocząć wzrost ponowny. Owo minimum znajduje się u wszystkich gazów zależnie od temperatury jego przy wyższem lub niższem ciśnieniu. U wodoru nie znano go dotąd, pomimo starannych poszukiwań. Profesor Wróblewski przekonał się, że takiego minimum nie widać u wodoru jeszcze w temperaturze — 103°C, gdyż leży ono przy ciśnieniu znacznie niższem od jednej atmosfery, a znalazł je dopiero badając ściśliwość tego gazu w temperaturze wrzenia tlenu ciekłego t. j. do 183°C przy ciśnieniu około 14 atmosfer. Odkrycie to ważnem jest z tego już powodu, że krzywa, wskazująca zależność ciśnienia odpowiadającego owemu minimum od temperatury gazu, jest jak to w przedostatniej swej pracy okazał ś. p. Profesor dalszym ciągiem krzywej skroplenia, czyli krzywej prężności pary nasyconej danego gazu w stanie ciekłym. Pominąć musimy streszczenie doniosłych teoretycznych spekulacyi rozwijających teoryą »stanów zgodnych« — ciekawych odsyłamy do oryginału pomieszczonego w 97 tomie sprawozdań z posiedzeń akademii umiejętności we Wiedniu.

Z.

Poezye Jana Kasprowicza. *Wydanie Biblioteki Mrówki. Lwów. Str. 246.*

Grunt poezyi naszej w ostatnich czasach znacznie wyjałowiał. Zakorzeniły się w nim potężne dęby, pod których konarami liczne jeszcze pokolenia spoczywać będą; ostatnie dwudziestolecie przyniosło kilka drzew wspaniałych i owocodajnych, ale od pewnego czasu nic nowego nie przybyło; wschodzą jeno chwilami wątłe krzewy, które lada wiatr krytyki zdmuchnie, zakwitają jednodniowe roślinki, ale bez korzeni silnych, bez krasy i woni.

Jednym z najwybitniejszych talentów, jakie okazały się w ostatnich latach na odłogiem leżącej grzędzie poezyi, jest bezsprzecznie Jan Kasprowicz. Utwory jego ukazują się od lat kilku w łamach »Przeglądu tygodniowego«, »Głosu« i »Kraju« i noszą na sobie dwie znamienne cechy. Niektóre są poświęcone tłómaczeniom i naśladowictwu Shelleya, najabstrakcyjniejszego i najradykalniejszego między poetami nowoczesnymi; niektóre zaś czerpią treść swą i barwę z życia chłopstwa i proletaryjatu polskiego. Cechy te są przyczynami i skutkami siły i słabości Kasprowicza.

Sam on tak skreśla swe poglądy na charakter i zadanie poezyi:

»...my cenim piękno, lecz z rozsądkiem
Pierścieniem ślubów połączone szczytnych,
Zawsze w ślad idąc za życiowym wątkiem
Nie rozumiemy kształtów niepochwytnych.
Nasza poezya — echem cierpień ludów,
Pragnieniem światła, chleba, wolnej dłoni...«

Na to z całego serca zgoda, ale Kasprowicz często nie jest wiernym swemu zadaniu. Pokutuje w nim duch Shelleya i czasem prowadzi jego pióro a wówczas wychodzą z pod niego abstrakcye mętne i smętne, postacie bez krwi i ciała, fantazye i allegorye mgliste i nienowe. Dowodem choćby wiersz: Giordano Bruno. Temat przepyszny — co z niego zrobił autor? Zapomnijmy, że krzywdzi język i formę dla myśli a czasem i dla rymu, zapomnijmy o metaforach, które n. p. Stwórcy każą kryć się »w porannej zorzy rubinowe włosy«. Czy mamy w tym wierszu tło czas, stworzone dla poety - malarza? czy mamy tragedyą walk i cierpień Brunona, będącą kopalnią dla dramaturga i psychologa? czy mamy pasmo idei, którehy umiał wyzyskać poeta-filozof, albo obraz śmierci męczennika — wspaniały dla bojownika-poety? Nic z tego wszystkiego! Kasprowicz rzucił nam tylko splot rozumowań ciemnych i chaotycznych, w których nie ma Brunona, ni jego systemu ani prawdziwej poezyi.

To samo da się powiedzieć o większej części poezyj kontemplacyjnych. Czasem uderza w nich blask, siła albo obraz piękny, ale te zalety toną w mgłach ciemnych. I temata biblijne nie lepiej się prezentują, ani erotyki. Łagodny liryzm, lekkość formy, prostota i naiwność nie leżą pono w zakresie talentu Kasprowicza. Zauważyć jeszcze należy, iż pierwsze jego utwory niejednokrotnie przypominają wielkich naszych mistrzów, że forma w nich często chropawa, a język twardy, nieposłuszny wymaganiom piękna, a nieraz — i gramatyki (germanizmów tam sporo).

Inaczej poeta się przedstawia, gdy z za obłoków metafizyki schodzi na biedną naszą ziemię. Zna on tę ziemię, kocha ją i rozumie, a uczucia te umie uplastycznić, wyrazić i przelać w czytelnika — często po mistrzowsku. Odwieczne ideały walczącej ludzkości: wolność, równość, braterstwo; pragnienia ujarzmionego narodu, trzymanego przez ciemięzców żywcem w trumnie; krzywdy, bóle, nadzieje milijonowych mas, marniejących z ciemnoty i głodu; serdeczne hasła młodzieży polskiej, chcącej sprawiedliwości w społeczeństwie, nauki i ideałów dla umysłu i wolnego powietrza, choćby gwałtownie miała rozbić otaczającą ją skorupę — te uczucia, te aspiracye znalazły w Kasprowiczu potężnego, dzielnego barda.

Ożywione tym duchem poezye »Z padołu walki«, »Z więzienia« i w. i., wulkanicznem uczuciem, świetnem obrazowaniem i wspaniałością szlachetnych, a zawsze postępowych, zawsze demokratycznych myśli — wstrząsające robią wrażenia, a cykl »Z chałupy“ należy pod względem ducha, treści jakoteż i formy do najoryginalniejszych i najwyższych tworów naszej poezyi.

O nich to myślał T. T. Jeż pisząc w przedmowie do autora: »Wy, kochany panie wśród poetów naszych współczesnych zjawiacie się z fizyognomią odrębną, z indywidualizmem rzeźko zaznaczonym i własnym, z wypiętnowanym na czole Waszem dowodem, że źródło kastalskie w Polsce nie wyschło«. Istotnie tak jak Kasprowicz nikt dotąd w poezyi nie znał, nie przenikał i nie obrazował chłopa. Czytelnikowi mogą się twory te wydać dziwnymi, dzikimi po prostu; szczególnie ostatnie, drukowane w »Głosie« i »Przeglądzie tygodniowym« — ale wczytawszy się w nie głębiej, podeptawszy szkolarskie regułki »o pięknie,« »o istocie poezyi« i odrzuciwszy uprzedzenie swe kastowe lub religijne — dostrzeże w nich nowy rodzaj w literaturze naszej: poezyą chłopską. Nie owa »ludowa«, liryczna lub dekoracyjna, gładko ociosana i wyperfumowana tanimi pachnidłami wiejskimi, nadziana oklepanymi wykrzykami, tylko prawdziwie chłopska, jaskrawa, krewka, jędrna a świeża a chrobra.

Cykl »Z chałupy« zawiera w formie sonetów szereg przepysznych obrazków rodzajowych, a ostatnie prace Kasprowicza uderzają szczególnie tonem, kolorytem i sposobem myślenia, chłopu wprost z duszy wyjętym. Jaka zaś myśl z Kasprowicza przyświeca, jaka rzeźwość i potęga życiowa po pospolitych u nas kwileniach na nutę salonowego pesymizmu i rozstroju nerwowego; co za kierunek w porównaniu z wylizanymi wierszorobami, kującymi swe rymy dla pensyonarek, z artystami, tworzącymi li tylko dla smakoszów estetycznych, lub z »rymarzami«, smażącymi w sosie poetyckim artykuły gazeciarskie — niech wskaże choćby ustęp następujący:

. . . . . głowy w górę!
Czas się wygrzebać z trosk koryta,
Duch oskrzydlony wznieść nad chmurę,
Gdzie złotem blasków słońce wita.
Jest w ludzie siła niespożyta,
Zbawienie leży pod siermięgą.
Jak ta w popiele skra ukryta.
Choćby ostatnią płuc potęgą
Dmuchajmy w tę ikrę, aż łun spłonie wstęgą.

W. Feldman.

KORESPONDENCYE.

Kraków. *Marzec 1889.*

Podczas gdy młodzież lwowska przedstawia w tej chwili kocioł, w którym „huczy i wre i kipi i pryska“ — nasze krakowskie społeczeństwo akademickie porównać by można ze spokojnem jeziorkiem, którego powierzchni, zielonym szlamem pokrytej, najdrobniejsza nie marszczy fala. Życie nasze ogranicza się do wegetowania — duch z niego uleciał, gdzieś się zapodział, zginął. Łaskawy znalazca raczy się z nim zgłosić do „Czytelni Akademickiej,“ która statutem swoim ma sobie wytknięte, jako cel główny „rozbudzanie życia umysłowego wśród członków“, a która w obecnej fazie swego istnienia, wygląda na „stowarzyszenie braci śpiących.“ Odezwał się wprawdzie niedawno w jej murach głos silny i śmiały, który zapowiadał, że nowego w nią tchnie ducha. Kol. Jachymiak, obejmując w swe dłonie ster czytelnianej nawy, w programowej mowie przyobiecał nam wstrzymanie się od nadmiernych występów na zewnątrz, skupienie sił na wewnątrz i skierowanie ich do pracy nad rozwojem intelektualnym. Z pierwszej części tego programu wywiązał się kol. prezes w sposób przechodzący najśmielsze nasze nadzieje; uiścił się z tego zobowiązania nawet w wypadkach, w których zupełnie tego spodziewać się i żądać nie mogliśmy (wieczorek Kraszewskiego); — na czyny i fakty w kierunku zrealizowania drugiej części programu zmierzające, dotychczas czekamy, jeżeli nie uznamy za usiłowanie rozniecenia większego światła w „Czytelni,“ zamiaru zaprowadzenia w niej oświetlenia gazowego, chociaż i ten nie wyszedł jeszcze ze sfery projektów. Nie przesądzamy jeszcze wyników działalności kolegi Jachymiaka, konstatujemy tylko fakt, że wywiązawszy się świetnie z negatywnej strony swego programu, do pracy nad pozytywną — jeszcze nie przystąpił. Rozumiemy to dobrze, że owo „rozbudzenie ruchu umysłowego“ w „Czytelni“ wymaga pracy olbrzymiej, jest problematem nie wiele łatwiejszym, jak rozwiązanie kwadratury koła, pogodzenie narodowości w Austryi, lub wynalezienie perpetuum mobile. Wiemy, że absurdem jest wymagać od jednego człowieka, ażeby za jego sprawą, w kilkuset mózgownicach naraz myśl zahypnotyzowana się ocknęła i zatętniło życie uśpione, ale czego domagać się możemy od kol. Jachymiaka na podstawie jego obietnic, to stworzenia takich warunków i stosunków, wśród których jakiś ruch umysłowy, jakaś praca nad pojęciami, wymiana zdań i myśli, byłaby dla jednostek garnących się do niej, możliwą. Tymczasem w takiem środowisku moralnem, jakiem jest obecnie „Czytelnia“ brak się czuć daje dotkliwy najprostszych i najniezbędniejszych pierwiastków wszelkiego życia umysłowego, bo jakżeż może ono się rozwinąć przy zupełnym braku książek i przy najwadliwszej organizacyi kółek naukowych? Biblioteka „Czytelni“ (prawdziwy lucus a non lucendo) i nasze wszystkie kółka, oto grunt, który naprzód z największą energią wykarczować powinien, kto pragnie aby „Czytelnia“ przestała wreszcie być miejscem, „gdzie ducha sen ma łoże swoje“ — i kto kolegom przyrzekł dla tej myśli pracować i działać.

Z życia tej części młodzieży, która poza „Czytelnią“ stoi, mamy do zanotowania fakt bardzo dla naszych stosunków znamienny i charakterystyczny: powstanie nowego stowarzyszenia akademickiego, „Kółka katolików,“ zgrupowanego pod egidę ks. S. Zwracamy

najpierw uwagę na to, że w Krakowie istnieje dziś 15 stowarzyszeń akademickich. Dodawszy do tego pięć kółek naukowych „Czytelni,“ pochwalić się możemy wcale pokaźną cyfrą 20 prezesów, tyluż wiceprezesów, skarbników, sekretarzy, biliotekarzy, a wliczając nadto wydziałowych większych akademickich instytucyj oraz członków wszystkich przygodnych — majówkowych, balowych, rautowych, jubileuszowych „et tutti quanti“ komitetów, otrzymamy razem blisko 300 godności akademickich! Uwzględniając, że nie obowiązują wśród nas przepisy prawa kanonicznego przeciwko kumulacyi beneficyów, możemy liczbę piastujących „godności“ i „urzędy“ studentów oznaczyć na 200. Z dygnitarzy tych dałaby się złożyć wcale przyzwoita „Izba Panów.“ Ileż sił, pracy i czasu marnujemy bezowocnie i bezpłodnie, obracając się w tym kieracie wydziałów, kół i komitetów! Jakież piętno czczości, pustki i fałszu wyciska to na naszem „życiu akademickiem,“ którego dewizą staje się „plus videri quam esse.“ A otrząsnąć się z tego trudno; hypertrofia stowarzyszeń i komitetów i jej wytwory: urzędomania i tytułomania, to wada nie specyficznie krakowska, nie galicyjska nawet, ale ogólnie polska, którąśmy pogrobowcy wzięli schedą wraz z tylu innymi po sejmikowych rządach dawnej Rzeczpospolitej, gdzie to każdy brat szlachcic, dbający o honor klejnotu, jakąś godność, choćby cześnika lub strukczaszego piastować musiał. Mochnacki za jednę z przyczyn upadku powstania listopadowego, uważa namiętną żądzę i gorączkę „urzędowania w insurrekcyi.“ Im głębiej w nas jest zakorzenioną ta wada, tym bardziej walczyć z nią trzeba; „Ognisko“ zrobi, co będzie mogło, żeby wyrwać z gruntu naszego te bodjaki szkodliwe, a tak na nim rozplenione.

Ale wracajmy do naszych owiec Panurga — przepraszam — chciałem powiedzieć do naszych „rzymskich katolików.“

Jaka jest „przyczyna wystarczająca,“ powstania tej nowej „warowni krzyża,“ tej kohorty „armii zbawienia,“ wobec istniejącej już od lat tylu i pomyślnie rozwijającej się „Czytelni katolickiej,“ „Bractwa Filaretów“ i „Czytelni teologów,“ a zwłaszcza w obec pokojowej i potulnej postawy, jaką w kwestyi przekonań religijnych zajmuje „Czytelnia Akademicka,“ złożona w części z indyfferentów, a być może w większości, z gorliwych ortodoksów? Hasło i odzew nowego stowarzyszenia brzmi: „Kościół rzymsko-katolicki i ojczyzna.“ Podziwiać należy istotnie głowy, które razem sprzęgnąć potrafią te dwa pojęcia i — to „Leone XIII pontifice.“! Godło to rzuca pewne światło na genezę nowego stowarzyszenia. Czyżby hasło „Bractwa Filaretów“: „Bóg i Ojczyzna“ miało naszym katolikom wydawać się nieco podejrzanem? Czy może istnieją słuszne powody do posądzenia Filaretów o deizm w rodzaju XVIII wieku, o zrywanie z religią całą prócz jej podstawowego dogmatu? W obec tego istotnie konieczną byłoby rzeczą zaznaczenie, że przy kościele stoimy i stać chcemy. Nie bawiąc się w te domysły i hypotezy, wyrażamy nadzieję, że szereg arcybractw katolickich wśród naszej młodzieży nie jest jeszcze zamknięty, za rok lub dwa znajdzie się z pewnością jakaś skrajna prawica, która będzie „plus catholique, que l'abbé S.“ którą słusznie razić będzie niepotrzebnie do katolickiego kościoła przyczepiona Ojczyzna i która wystąpi do boju pod hasłem „Rzymsko-katolicki kościół i władza doczesna Ojca Świętego.“ Będzie to przynajmniej hasło jednolite, konsekwentne i wolne od wewnętrznego rozdźwięku.

Lwów. *Marzec 1889.*

(Wiec akademicki.)

Dnia 9. i 10. b. m. odbył się w tutejszej sali ratuszowej wiec studentów następujących zakładów naukowych: Uniwersytetu lwowskiego, Szkoły politechnicznej, Szkoły agronomicznej w Dublanach, Szkoły weterynaryjnej i leśnej. Nauczeni doświadczeniem, jak u nas szacują wolność słowa i zgromadzeń, wpuszczali inicyatorowie wiecu do sali tylko osoby, posiadające imienne zaproszenie.

Ponieważ zgromadzenia, ograniczone do zaproszonych, nie stoją pod kontrolą władz, przeto zgromadzeni mogli bezpiecznie i swobodnie wygłaszać swe myśli. Każdemu zaś słuchaczowi wyżej wymienionych zakładów, wystawiono zaproszenie, których było ogółem 1327, a wręczono przeszło 1000. W sobotę o godzinie trzeciej salę zapełniło przeszło 500 osób. Zgromadzenia jednak nie rozpoczynano, gdyż rektor uniwersytetu p. Piętak, obrażony, że go nie zaproszono i o radę nie zapytano, kategorycznie zabronił studentom uniwersytetu brania udziału w dyskusyi lub głosowaniu. Po długich targach i przedstawieniach, że senat nie może zabraniać wzięcia udziału w zgromadzeniu poufnem, o którem żadne władze nie powinny nic wiedzieć, rektor na pozór zezwolił na zgromadzenie, zwłaszcza, że zebrani nie mieli wcale zamiaru rozchodzić się. Zagajono tedy zgromadzenie i wybrano przewodniczącym technika Kozłowskiego, zastępcami zaś kol. Laskownickiego, Biedronia, Kasparka i Łopatyńskiego. Po wybraniu przewodniczącego pierwszy zażądał głosu rektor. Przewodniczący jednak odpowiedział, że to jest zebranie studentów, że przeto rektorowi głosu udzielić nie może. Po krótkiej kontrowersyi dostał rektor głos i wyraził życzenie, ażeby obrady odbywały się w granicach ustaw i przyzwoitości, poczem brał również żywy udział w obradach, jak i studenci. Odpowiedzią na ojcowskie przemówienie rektora były oklaski, którym wtórowało wyraźne sykanie. Po tej przygrywce zabrał głos kol. Laskownicki, podziękował rektorowi za to, że „zezwala na obrady“ i udowodniwszy potrzebę jakiegoś ciała, któreby całą młodzież lwowską łączyło z poza-lwowską do wspólnej akcyi, jakoteż któreby wzięło na siebie wykonanie uchwał wiecu, postawił wniosek, by wybrano komitet wykonawczy wiecu, złożony z 15 kolegów. Wniosek przyjęto.

Zabrał głos pan Korytko, znany z tego, że postępowaniem swem uniemożliwia wszelkie obrady. Panu temu odebrał przewodniczący głos, z tego samego powodu, co rektorowi. P. rektor postawił wniosek, aby wszyscy obecni a nie tylko studenci mieli równe prawa na zgromadzeniu. Wniosek ten olbrzymią większością upadł.

Następny referent kol. Frenkel przedstawił potrzebę założenia politycznego organu młodzieży. Wniosek po długiej dyskusyi przyjęto

Kol. Markiewicz wykazał oburzające wyzyskiwanie młodzieży w biurach, przy czem faktami udowodnił, że kucharka w mieście stosunkowo lepsze pobiera wynagrodzenie, niż prawnik w biurze adwokata. W końcu postawił rezolucyą: „Komitet wykonawczy wystosuje prośbę do izby adwokackiej i notaryalnej, by mundantom podwyższono płacę na 20 złr. miesięcznie i zniżono liczbę godzin pracy na 5“. W razie zaś, gdyby izby nie uwzględniły słusznego żądania, poleciło zgromadzenie komisyi, by ta zastanowiła się nad możliwością i ewentualnem urządzeniem ogólnej zmowy (strejku) wyzyskiwanych.

Kol. Kasparek, „referujący rozdawnictwo stypendyów“, udowodnił równie faktami, że stypendya, przeznaczone właściwie dla ubogich, służą na „piwo“ lub jako „Taschengeld“ ludziom, którym niczego nie brakuje, chyba ptasiego mleka. Zgromadzeni przeto zażądali, żeby przy rozdawaniu stypendyów zwracano także uwagę na opinię młodzieży. Postanowiono również na wniosek referenta, młodzieży, bawiącej w Szwajcaryi, udzielić pełnomocnictwa, na podstawie którego mogłaby przedsięwziąć odpowiednie kroki przeciwko hr. Platerowi, który samowolnie rozporządza fundacyą Krystyna Ostrowskiego, a rachunki okrywa nieprzeniknionym płaszczem tajemnicy.

Referat kol. Trylowskiego „o udziale kolegów w życiu publicznem“, mimo, że wyboru tematu można było tylko powinszować referentowi, był nieszczególny, zawierał tylko krytykę postępowania władz rządowych podczas wyborów do sejmu i rady państwa.

Na tem wyczerpano porządek obrad tego dnia. Zgromadzeni opuścili salę koło 8 godziny.

W niedzielę około 3 godziny pojawiły się we wszystkich stowarzyszeniach akademickich ogłoszenia, zabraniające słuchaczom uniwersytetu dalszego udziału w obradach wiecu. Osiągnęły one jednak skutek wręcz przeciwny zamierzonemu celowi, wywołały bowiem tak wielkie oburzenie, że zamiast poprzednich 500, zjawiło się w sali około 800 studentów. Na tem posiedzeniu był także obecnym rektor politechniki, p. Zbrożek.

Pierwszy referent kol. Sz. wykazawszy, że istniejące na papierze równouprawnienie między politechniką a uniwersytetem *de facto* nie zostało jeszcze przeprowadzone, postawił następującą rezolucyą: „Komitet wykonawczy uda się do odpowiednich władz z prośbą, 1) aby rektorowi politechniki nadano głos wirylny w sejmie; 2) aby drugi egzamin rządowy nadawał technikowi te same prawa, co doktorat studentowi uniwersytetu; 3) aby raz już nadano politechnice statut organiczny, na wzór takiego, jaki posiada uniwersytet, a to dlatego, aby szkoła ta nie była zawisłą od kaprysów ministra; 4) aby utworzono przy technice wydział handlowy. Rezolucye te przyjęto. Również postanowili zgromadzeni zażądać odrębnej akademii rolniczej, z wydziałem melioracyjnym i leśnym.

Następnie kol. P. z niezrównanym dowcipem mówił „o stosunku naszym do władz“. Udowodnił on, że prawa obywatelskie, które nam zastrzegają zasadnicze ustawy państwa, są tylko ironią. Tylko w Japonii, gdzie niedawno nadano konstytucyą, mają studenci równe prawa z resztą obywateli. Wyraźnie zastrzega im to konstytucya. W Austryi jednak równouprawnienie to obywateli akademików, dzięki ustawie dyscyplinarnej nie sięga po za wolność bawienia się i palenia cygar. (Wyniki śledztwa dyscyplinarnego aż nadto udowodniły prawdziwość powyższych słów. Red.). W odpowiedzi rektorowi Z., który żądał, aby sprawy traktowano poważnie, bez dowcipu, odparł referent, że są sprawy, jak np. wydana przed 40 laty ustawa dyscypliuarna, o których poważnie nie można mówić: Dodał przytem, że niezadługo napisze jaki Japończyk na wzór operetki Mi-Ka-Do, operetkę pod tytułem Ge, A, U, czyli „jeden dzień w państwie konstytucyjnem.“ Poczem na wniosek referenta wiec przyjął następujące rezolucye:

I) Wysokie ministerstwo raczy znieść: *a*) rozporządzenie ministerstwa wyznań i oświaty z dn. 13 października 1849 r. l. 7215 d. u. p. 416 dodat. II do d. u. p. 415 i to §§. 7, 10, 12; *b*) rozporządzenie ministerstwa spraw wewnętrznych z dn. 1 czerwca 1876 r. intymowane władzom uniwersyteckim rozporządzeniem ministra wyznań i oświaty z dnia 20 czerwca 1876 l. 7914.

II) Świetny senat akademicki raczy: *a*) znieść rozporządzenie swe z listopada 1888 r., mocą którego niedopuszcza się niecztonków towarzystw akademickich do brania udziału w kółkach tychże towarzystw; *b*) zechce poprzeć rezolucye wiecu, wyrażone pod liczbą I *a*) i *b*).

Na wniosek kol. G. referenta sprawy wydziału medycznego we Lwowie, uchwalono jednogłośnie zażądać założenia wydziału medycznego we Lwowie, jakoteż szkoły rabinackiej.

Z kolei odczytano referat „O reformie Gautscha.“ Przedstawiono w nim ministra, jako stawiającego przeszkody rozwojowi szkół i napływowi do nich żądnych wiedzy. Bliższe scharakteryzowanie referatu niemożliwe bez narażenia pisma na konfiskatę. Tu tylko powiemy, że ledwo go pozwolono referentowi dokończyć, gdyż szalone i ciągłe oklaski przerywały każde jego zdanie. Treścią rezolucyi było życzenie, by pan minister poszedł na peusyą i ustąpił miejsca jakiemu patronowi oświaty.

Na wniosek referenta kwestyi ustawy wojskowej kol. K. zgromadzeni zaprotestowali przeciw nowej ustawie w ogólności, a w szczególności przeciw §. 25, nie jako obrońcy przywilejów klas możnych, jakim jest instytucya jednorocznych ochotników, lecz jako przeciwnicy militaryzmu. W razie zaś, gdyby ustawa przyjętą została, zgromadzeni żądają powszechnego prawa głosowania z 21 rokiem życia. Wniosek przyjęto przez aklamacyą. Na koniec referent sprawy szkół wyznaniowych, dla braku czasu krótkimi słowami scharakteryzował obrzydliwość dążeń reakcyjnych tych ludzi, którzy chcą ze szkół porobić domowe diakówki i chajdery, poczem odczytał rezolucyą, w której protestowano przeciw szkołom wyznaniowym, w jakiejby one formie i przez kogo kolwiek były proponowane. Protestowano zaś na tej podstawie, że zadaniem szkoły jest szerzenie oświaty, a nie religijności, którą należy pozostawić rodzicom, jakoteż dlatego, że kościół powiniem być od państwa oddzielonym i uznanym za rzecz prywatną. Całą tę rezolucyę przyjęto przez aklamacyą i pomimo, że przewodniczący zwracał po kilkakroć uwagę, że jeden głos znosi aklamacyą, nikt przeciwko niej nie głosował. Na tem zakończył się wiec, ale nie skutki jego. Oto natychmiast po wiecu rozpoczęły się bieganiny i korespondencya między policyą i namiestnictwem z jednej a rektorami z drugiej strony. Szukano tajemnych inicyatorów wiecu. Nie przypuszczano, żeby podobna myśl mogła była wylęgnąć się w umyśle młodzieńca lwowskiego. Chciano koniecznie wyciągnąć na światło dzienne jakichś emisaryuszy genewskich, jakichś wysłanników panslawistycznych z Petersburga. Tymczasem każdy myślący dojdzie do wniosku, że wiec ten nie potrzebował żadnej zakulisowej agitacyi. Kto bacznie śledził ruch między młodzieżą, tak w kółkach i towarzystwach oficyalnych jak i prywatnych, jakoteż dwa ostatnie wiece (w sprawie rozporządzeń c. k. policyi), odbyte w murach uniwersytetu, przyzna, że pewne napięcie w tym kierunku istniało już u ogółu i że wystarczała myśl rzucona przez jednego, by się zeszły setki młodzieży razem i wypowiedziały oddawna nurtujące wśród niej myśli. Wiec ów był rezultatem i wyrazem myśli i dążeń kilku pokoleń młodzieży, tajnych więc emisaryuszy, którzy rzekomo wzięli niewinne dzieci na lep, nie wynaleziono. Ponieważ atoli wiec ten cały był nie w smak naszym opiekunom, postanowiono bądź co bądź, rzucić postrach między masy i ukarać przy-

najmniej tych, co się podczas wiecu najbardziej naprzód wysunęli. Tak się też stało. Przeprowadzono śledztwo dyscyplinarne we wszystkich zakładach. Rezultaty mniej więcej takie: Kol. Wacław Budzynowski i Teodor Kasparek, za to, że byli podpisani na zaproszeniach, zostali relegowani na 3 semestry, 11 zaś dostało naganę za to, że referowali na wiecu. Kiedy skazanym wydawano wyroki pisemne, studenci zebrani na kurytarzach wyprawili szaloną demostracyą przeciwko senatorowi, a w szczególności przeciwko rektorowi, o czem pisma nasze przemilczały. Na politechnice śledztwo jeszcze nieskończone. Wszystkich wybranych do komitetu wykonawczego, zmuszają różnymi sposobami do wystąpienia z niego. Co do wystąpienia nowej grupy karyerowiczów pod dowództwem L. i B. przeciwko wiecowi doniosę później, gdyż ta sprawa ostatecznie roztrzygniętą będzie w niedzielę na walnym zgromadzeniu czytelni.

W. Budzynowski.

Lwów. *Marzec 1889.*

(Z politechniki.)

Od niewielu lat istniejąca politechnika lwowska nie stoi jeszcze na tym szczeblu, jaki powinien zajmować jedyny tego rodzaju wyższy zakład naukowy w naszym kraju. Nie należy szukać przyczyny tego w siłach nauczających, i owszem, pod tym względem technika lwowska może iść w zawody z najpierwszymi szkołami zagranicznymi, lecz jeżeli szkoła politechniczna lwowska nie zdobyła sobie rozgłośnego stanowiska, to przyczyna tego leży w szczupłej stosunkowo ilości słuchaczy. Źle się wyraziłem może mówiąc o rozgłosie, powinienem był powiedzieć raczej: technika lwowska nie jest modną. Mimo tylekrotnych bajań na temat patryotyzmu, podnoszenia tego, co polskie i t. p. pod tym, jak i pod wielu innymi względami, pozostajemy w tyle za pobratymcami naszymi Czechami i sąsiadami Węgrami. Niejeden z tych, co ongi może bajali na temat: politechnika polska, dziś synów swoich wysyła za granice kraju; gdyby tak wszystka młodzież polska i ruska, która się oddaje studyom technicznym na politechnikach obcych, studyom tym poświęcała się na politechnice lwowskiej, natenczas niezaprzeczenie niezdołałyby jej pomieścić w sobie nawet mury naszego kolosalnego gmachu.

Spotykałem słuchaczy ze wszystkich politechnik w Europie; wielu było takich, co przejechawszy się z jednego uniwersyteckiego miasta do drugiego, straciwszy wiele pieniędzy a może i sił żywotnych, powracali ostatecznie do Lwowa dla spokojnego zakończenia studyów. Zapytałem ich, na czem polega właściwie wyższość tej lub owej politechniki za granicami kraju nad techniką naszą — otrzymałem zawsze odpowiedź albo zupełnie mdłą, albo nawet i naiwną, krążącą około tego: tam lepsza firma, głośniejsza, powiedziawszy krótko — modniejsza technika. Ależ gdy o to chodzi, czyż i naszej techniki nie można uczynić głośną i modną? tylko garnąć się do niej, a mam to przekonanie, że więcej i z mniejszym kosztem korzysta się tutaj.

Wieleż to grosza tą drogą wywozi się poza granice kraju?!

Gdy pominiemy już inne względy, przemawiające przeciwko płynięciu na zachód do szkół politechnicznych, nie można przemilczeć tego czynnika, który z jednej strony przemawia w wysokim stopniu za politechniką lwowską, z drugiej zaś daje obsolutną przewagę słuchaczom, kończącym studya w kraju, nad tymi „wędrownymi studentami“; myślę tu o życiu akademickiem.

Mówiąc o zakładach naukowych i o studyach w tychże zwykli uważać starsi życie akademickie jako zbędne akcesorya, zabawki; a jednakowoż zaprzeczyć się nie da, że to życie akademickie jest najlepszą szkołą życia. Gdy zakład daje tylko wiedzę fachową, to życie akademickie jest niejako przysposobieniem młodzieńca na przyszłego czynnego obywatela kraju, poucza go, że ponad interes prywatny występuje dobro publiczne, że w przyszłości nie ma być marną maryonetką, ale człowiekiem. — Gdy technicy w kraju naszym dotychczas zawsze stali na drugim planie, ustępowali pierwszeństwa innym grupom inteligencyi, to tylko w tem przyczyny tego szukać należy, że za czasów akademickich, będąc poza granicami kraju, żyjąc w gronie poniekąd familijnem kilku rodaków, izolowani od życia tutejszego, nie przeszli tej szkoły obywatelskości. Po ukończeniu studyów za granicami zajęli odpowiednie stanowiska w kraju i musieli dopiero uczyć się tego, co inni już za czasów studenckich zdobyli, a tem samem nie mogli im zrównać — i stanęli na drugim planie.

Gdy chodziło o technikę polską — to niezaprzeczenie ważnym czynnikiem przy zakładaniu tejże był i ten wzgląd, jednakowoż jest on dotychczas pomijany, gdyż jak widzimy, liczba słuchaczy na politechnice lwowskiej niedochodzi do 200.

A życie to akademickie przy politechnice lwowskiej w pysznem występuje świetle i młodzież politechniczna w tym kierunku ma nawet przewagę nad uprzywilejowanymi słuchaczami uniwersytetu. Najgłówniejszej przyczyny tego faktu szukać należy w tem, że niema pośród młodzieży politechnicznej tego rozbicia sił, jakie gdzieindziej zauważyć musimy. Gdy przy uniwersytecie jest 5 stowarzyszeń akademickich, przy politechnice jest tylko jedno, które jest bezwzględnie silniejsze od każdego z tych pięciu. Ponieważ gmach szkoły politechnicznej znajduje się nieco dalej od centrum miasta, więc młodzież nasza jest niejako przestrzenią oddzielona od innych akademików, ale tem silniej łączy się ze sobą; toż wszyscy słuchacze bez wyjątku są członkami „Bratniej pomocy słuchaczów politechniki“. Istniejąca we Lwowie „Czytelnia akademicka“ w ustawach swoich ma wprawdzie zamieszczone, iż członkami jej mogą być tak słuchacze uniwersytetu jak i politechniki, lecz już wiele lat jak nastąpiła zupełna separacya techników z Czytelnią akademicką, żaden technik nie jest jej członkiem, i należy ją uważać jako stowarzyszenie wyłącznie słuchaczy uniwersytetu. Stowarzyszenia Brat. pom. słuch. polit. nie należy pojmować jako towarzystwa mającego na celu tylko pomoc materyalną; i owszem, Brat. pom. słuch. polit. ma swoją czytelnię, księgozbiór, urządza odczyty i prelekcye, zajmuje się wydawnictwem dzieł naukowych i wykładów profesorów politechniki. Czytelnia politechników liczyła w ostatnim roku 73 czasopism, księgozbiór ma 1858 tomów, lecz trzeba mieć pod uwagą, że rok rocznie z tegoż wysortowuje się pewną ilość mniej poczytnych dzieł, tak że prawie co roku liczba dzieł wykreślonych z inwentarza dorównuje prawie nowowpisanym — w ten sposób usuwa się niepotrzebnie balast i biblioteka nie jest antykwarnią; na antyki miejsce w Ossolineum i bibliotekach rządowych uniwersytetu i politechniki. W łonie towarzystwa istnieje „Kółko zachęty naukowej“;

ma ono w pierwszym rzędzie obowiązek urządzania odczytów, tychże odbyło się w ostatnim roku akademickim 16cie. Towarzystwo przeznacza rok rocznie z funduszów swoich 250 złr. na nagrody za najlepsze prace rysunkowe i laboratoryjne, wykonane w odnośnym roku pod kierownictwem profesorów politechniki; do wydawnictwa nagród i oceny prac uproszona jest komisya złożona z profesorów, a uroczyste wręczanie listów pochwalnych i nagród odbywa się podczas aktu inauguracyjnego. Materyalnej pomocy udziela towarzystwo w formie bezprocentowych pożyczek zwrotnych, po ukończeniu politechniki w ratach nawet po 50 ct. miesięcznie; w ostatnim roku administracyjnym rozdzielono pożyczek między niezamożnych kolegów w kwocie 2618 złr. 93 ct. — nadto nadmienić należy, że w b. r. utworzono z funduszów tow. jedno stypendyum imienia Tow. „Brat. pom. słuch polit." w kwocie rocznych 120 złr., które nadaje Wydział naszego Towarzystwa jednemu z najuboższych kolegów bez różnicy wyznania i narodowości. Tego roku po raz pierwszy nadano to stypendyum: Abrahamowi Wegmanowi, słuchaczowi IV. roku z wydziału budowy machin. Z czasem utworzy Towarzytwo więcej takich stypendyów. Nie można tego pominąć, że ostatnimi czasy poruszono myśl budowy domu tanich i bezpłatnych pomieszkań dla niezamożnych członków. Fundusze Towarzystwa są następujące: fundusz żelazny w papierach wartościowych i w gotówce 11.268 złr. 88 ct, obrotowy 18.298 złr. 85 ct., majątek w wydawnictwach 580 złr. Należałoby jeszcze wziąć w rachubę wartość inwentarza i majątek kółek, w łonie Towarzystw istniejących. Z takowych najżywotniejszą jest „Kuchnia politechników", zostająca pod zarządem samych słuchaczy; Kuchnia wydała w ostatnim roku administr. 15.000 obiadów, z tego 1.108 bezpłatnie.

Aleksander Krüger.

Warszawa. *Marzec 1889.*

Nie wiemy, co prawda, jeszcze, o ile pismo wasze odpowiadać będzie waszemu ideałowi — zogniskowanie całej młodzieży polskiej, rozrzuconej po tylu rozmaitych wyższych zakładach tylu krajów, zależnej od tak różnorodnych warunków, jest rzeczą wysoce trudną. Potrzeba tu już silnie rozwiniętego poczucia konieczności łączenia się między sobą. Fakty takie, jak wiec lwowski, jak objawiający się już od pewnego czasu ruch między młodzieżą polską w Szwajcaryi, wskazują, że konieczność ta występuje już wyraźniej w naszej świadomości. Czy jednak nastarczy to „Ognisku" dostatecznego paliwa? Życzymy wam tego z całego serca i żałujemy, że narzucone nam warunki zrobią zapewne stosunek nasz do „Ogniska" dorywczym tylko. Tem szczerzej pragniemy, by stało ono na wysokości zadania. Rozgrzać serca, ściśnięte zmarzłą korą szkolnych „uroków" i domowych ostrzeżeń, rozświecić umysły, zamglone przez każdą niemal dochodzącą nas teoryą — tak rozumiemy to zadanie.

Nie wiele donieść wam teraz mogę o naszem życiu, ścieśnionem i paraliżowanem w każdym jego szlachetniejszym objawie. Ogół młodzieży dochodzącej u nas do uniwersytetu, przedstawia się dość marnie, bezbarwnie — chłopcy samodzielniejsi, energiczniejsi już w niższych klasach gimnazyalnych przechodzą u nas do kategoryi „byłych" uczniów, a ponieważ zwykle należą oni do rodzin uboższych, przeto giną gdzieś w swarliwym zgiełku walki o grosz. Perspektywa kariery, która na uniwersytecie otwiera się już jako tako, robi młodzież coraz bardziej uleglejszą trzodą Apuchtina. Pesymistyczne takie uwagi nasuwa mi niedawne zachowanie się studentów medycyny wobec znanego wam „prykazu" ćwiczenia się w języku rosyjskim.

P. Kułakowski, lektor rosyjskiego języka (z obowiązkowym egzaminem dla studentów 1-go kursu wszystkich wydziałów) były „proswietitiel" Bułgarów i obecny redaktor „Warszawskawo Dniewnika", obmyślił nowy sposób wprawienia Polaków w „obszczesławiański literaturnyj jazyk": projekt polegał na tem, żeby III. i IV. rok, przedstawiane zwykle na piśmie odnośnym profesorom medycyny historye chorób, podawał naprzód do cenzury p. lektora; dopiero zależnie od poprawności moskiewszczyzny, miała być oceniana znajomość medycyny. Dla II. zaś kursu medycyny wprowadza się zupełnie nowa kategorya piśmiennych ćwiczeń dla skontrolowania biegłości w języku państwowym.

Słuchacze IV. kursu wahali się długo bardzo, co robić? T. z „historye chorób" potrzebowali podać profesorom, jako medycy; rozchodziło się tylko o to, czy podawać 13. Marca, jak nakazywało rozporządzenie, czy też w Maju, jak bywało dotąd Po długich debatach, w których „posłuszne" głosy odzywały się bardzo rzadko i dwuznacznie, przystąpiono do tajnego głosowania, i absolutna większość wypowiedziała się za 13 Marca. Dlaczego absolutna większość tak wypowiedziała się? Trudno zrozumieć. Niezadowolenie i debaty wywołane były nowym zamachem p. Kułakowskiego na spolszczenie Warszawiaków; logiczne więc stawienie kwestyi byłoby takie: albo wcale „historyj chorób" nie przedstawiać, i składać egzamin ustnie, gdyż nieprawdopodobnem było niedopuszczenie do egzaminów wobec solidarnego oporu kilkuset studentów z 3 kursów, albo też podać w Maju po łacinie, co znowu nie było tak trudnem. Wstrzymanie się do zwykłego terminu właściwie nie było żadnym oporem przeciw rusyfikacyi, a jednak i na taką paljatywę nie można się było zdobyć. Młodsze kursa miały się zachować nierównie przyzwoiciej, lecz za przykładem starszych kolegów będą także zapewne kandydować na czynowników.

Leon.

Genewa. *Marzec 1889.*

Z życia młodzieży polskiej za granicą.

Concordia res parvae crescunt.

Niezbędnym warunkiem normalnego i wszechstronnego rozwoju, zarówno pojedyczego jak i społecznego organizmu jest swoboda. Z tego względu organizmy, obdarzone swobodą, znajdują się w zupełnie innych warunkach, niż swobody pozbawione.

Skutkiem tego wyradza się różnica celu oraz środków, prowadzących do niego. Naturalnym celem organizmu, pozbawionego swobody — odzyskanie jej; środki, jakich do tego używa, naturalne w danych warunkach, byłyby objawem nienormalnym w organizmie swobodnym. Powyższe uwagi znajdują zastosowanie, jeżeli porównamy stan naszego narodu z innymi. O celu najbliższym, jaki ma on przed sobą, nie będę mówił: jest jasny. Co do środków, sposobów działalności, to zachodzi, jak zaznaczyłem, wielka różnica między organizmami: swobodnym a nieswobodnym. Chodzi mi tu o zaznaczenie tej różnicy w zadaniach młodzieży naszej, a młodzieży należącej do innych, normalniej od naszego rozwijających się społeczeństw.

Dla przedstawienia jasno tej różnicy wystarczy

porównać Szwajcarów z nami. Szwajcarya, jak wiadomo, jest krajem największej swobody w Europie i, co za tem idzie, krajem najnormalniej się rozwijającym; obowiązki obywatela są tam jasne. Młody Szwajcar, do czasu dojścia do samodzielnego stanowiska, zajmuje się wyłącznie nauką, rzemiosłem i t. p.; w życiu politycznem nie bierze i nie potrzebuje brać żadnego udziału: ma swój rząd, który się wszystkiem troskliwie zajmuje; ma do rządu tego zaufanie, oparte na wyroku całego narodu, który na mocy ogólnego głosowania ten rząd utworzył; wie, że naród może kontrolować postępowanie rządu. Pozorna ta obojętność dla spraw publicznych i zajęcie się wyłącznie tylko swoją specyalnością — nas, Polaków nieraz w tutejszej młodzieży razi, trzeba jednak przyznać, że ten objaw naturalny wypływa z wyjątkowego, a właściwie normalnego stanowiska, jakie zajmuje Szwajcarya. Jakże wobec tego stan nasz się przedstawia? W szkole już zaznajamiają młodego Szwajcara z historyą narodu, z prawami i obowiązkami obywatela, wyrabiają w nim poczucie własnej godności. U nas szkoła wywiera wpływ demoralizujący i zabijający wszelką samodzielność.**) Dziecko polskie w szkole uczy się fałszowanej historyi swego narodu, musi znosić poniżenia wszelkiego rodzaju, uczy się płaszczyć przed nauczycielem, szpiegować kolegów, słyszy, jak szydzą z rzeczy dla niego najświętszych i t. p. Weźmy teraz pod uwagę, że dziecko to w domu ciągle słyszy od rodziców, że skończenie gimnazyum jest dla niego wszystkiem, że dlatego powinnien bez szemrania wszystkiemu się poddawać. Nigdzie więc nie znajduje moralnej podpory. Czy można stan taki tolerować i wcale mu nie przeciwdziałać? Nie mamy ludzi, którzyby stali na straży interesów naszych, którzyby nam wskazywali drogę, po jakiej iść trzeba. Programami, jakie układają dla nas w Petersburgu, Wiedniu, Krakowie etc. zadowolnić się niepodobna. Czy wobec — z jednej strony gnębienia i wynaradawiania, z drugiej — płaszczenia się i apatyi przeważnej części społeczeństwa, wolno nam nic, poza swoją specyalnością, nie robić? Na to odpowiedź łatwa. Tutaj chciałbym odeprzeć zarzut, jaki robią młodzieży polskiej przeciwnicy udziału jej w sprawach, obchodzących całe społeczeństwo. Twierdzą oni, że młodzież, zajmując się tymi sprawami, traci wiele czasu, który powinien być poświęcony studyom. Dowodzenie takie wykazuje zupełną nieznajomość życia studenckiego.

Przedewszystkiem nikt całego czasu nie poświęca wyłącznie nauce; kwestya więc schodzi do tego, jak korzystać z czasu poza studyami: czy iść w ślad niemieckiej młodzieży i spędzać go na hulance, czy też pracować nad sobą i przygotowywać się do przyszłej obywatelskiej działalności. Zdaje się, że nie może być wątpliwości w wyborze między dwoma tymi kierunkami. Pierwszym i niezbędnym warunkiem skuteczności jakiegokolwiek działania, mającego na celu pożytek ogółu, jest solidarność między działającymi w danym kierunku. Podstawą solidarnego działania jest silna organizacya. Potrzeba solidarnego, zorganizowanego działania daje się czuć szczególnie w naszem społeczeństwie: dążenie do ześrodkowania sił wszystkich, do pchnięcia ich w jednym kierunku, winno być u nas objawem naturalnym, reakcyą wywołaną warunkami, które rozdzielając nas politycznie, rozsypując po całym świecie, utrudniają wszelkie zbliżenie się. Istnieją co prawda liczne stowarzyszenia młodzieży polskiej, są one jednak zupełnie odosobnione i między sobą stosunków nie utrzymują, a przynajmniej bardzo słabe. Takie zamknięcie się nie wpływa dobrze na rozwój samego towarzystwa, które pojedynczo przedstawia siłę o wiele mniejszą, niż w połączeniu z innymi stowarzyszeniami. W ostatnich czasach myśl o potrzebie szerszej organizacyi zaczęła przenikać do lepszej części młodzieży naszej; zwróciła ona usiłowania swoje w tym kierunku. Podane niżej sprawozdanie przedstawi, o ile usiłowania te okazały się skutecznymi wśród młodzieży polskiej za granicą.

Zacznę od młodzieży z Zurichu. Istnieje tam od lat 22 „Towarzystwo Młodzieży Polskiej,“ liczące obecnie 40 członków; ma ono na celu śledzenie ruchu umysłowego, społecznego i politycznego w kraju i za granicą, wzajemne kształcenie się, pomoc wzajemną i t. p. Jako środki do tego służą odczyty obowiązkowe dla członków, biblioteka, czytelnia, kasa pożyczkowa. W roku przeszłym wygłoszono 23 odczytów; prócz tego staraniem Towarzystwa dr. Limanowski miewał co tydzień publiczne odczyty z historyi porozbiorowej Polski. Biblioteka Towarzystwa składa się z przeszło 1500 tomów rozmaitej treści. Czytelnia odbiera 28 czasopism.***) Oprócz „Towarzystwa młodzieży polskiej“ istniało przez jakiś czas w Zurichu stowarzyszenie „Ogniwo,“ liczące kilku członków.

Wielu Polaków w Zurichu nie należy do Towarzystwa. Jedni dlatego, że nic ich poza obrębem własnej osoby nic interesuje; o tych nawet wspominać nie warto. Inni nie należą z najrozmaitszych powodów, które trudno uogólnić. Między tymi najliczniejszą grupę stanowią tak zwani tutaj, niewiadomo dlaczego, „radykali.“ Patryjotyzm dla tych panów jest hasłem przeżytem, nie mającem racyi bytu. W obec tego, postępowanie ich w danym razie jest zupełnie wytłómaczone. Ruch ten między częścią młodzieży polskiej zaczął się tu pojawiać mniej więcej 10 lat temu. Wystąpił on na początku, jako antinarodowy, czego uderzającym dowodem był między innymi meeting, z powodu rocznicy listopadowego powstania, który się odbył w Genewie 1880 roku; inicyatorami meeting'u byli przedstawiciele tego kierunku.

W zaproszeniu na meeting czytamy między innymi co następuje: „.... dawne hasło: „Vive la Pologne“ zaczęło tracić swój urok, znikło wreszcie zupełnie wśród walki klas.... zapraszamy więc was, obywatele, aby przywitać nową jutrzenkę swobody, aby pod hasłem: „Vive l' Internationale,“ wspomnieć o proletaryacie polskim!“... Jeden z mówców tak kończy swoje przemówienie: „dlatego, obywatele, walka z patryotyzmem jest dla nas na porządku dziennym. Dlatego też przeciw wszelkim objawom tego złudnego patryotyzmu w imię naszych ideałów, w imię interesów proletaryatu polskiego protestować nie przestaniemy...... precz więc z patryotyzmem i reakcyą. Niech żyje Internacyonał i rewolucya socyjalna.“

Nie będę przytaczał więcej przykładów; powyższe ustępy są dosyć charakterystyczne. Obecnie jednak nastąpił zwrot w przekonaniach tej grupy: teraz przynajmniej uznają patryotyzm i nie ośmieszają go. W jednem z najnowszych wydawnictw tej grupy, w odezwie do oficerów wojska rosyjskiego — znajdują się nawet ustępy w duchu patryotycznym i w ogóle na poglądy tam przedstawione zgodzić się można. Zachodzi pyta-

*) Mam tu na myśli szkoły w Królestwie Polskiem.

**) Szczegóły znajdują się w sprawozdaniu czynności T. M. P. w Zurichu.

nie, czy zwrot ten skutkiem rzeczywistej zmiany przekonań, czy też tylko agitacyjnym manewrem — pytanie, na które trudno odpowiedzieć. Przechodzę dalej do Genewy. Tu Polacy daleko mniej licznie są reprezentowani, niż w Zurichu; liczba przytem Polaków w Genewie zmieniała się ciągle: był czas, że na uniwersytecie było zaledwie kilka osób polskiej narodowości. W obec tego założenie stowarzyszenia było rzeczą trudną i nastąpiło później, niż w Zurichu, mianowicie w roku 1884. Po roku towarzystwo, z powodu zbyt małej liczby członków, przestało istnieć, młodzież zaś należała do emigracyjnego towarzystwa. Wreszcie „Polonia“ została wznowioną w październiku 1887 r. i liczy obecnie 20 członków. W roku przeszłym wygłoszono 22 odczytów. Towarzystwo posiada bibliotekę, dotychczas nie bardzo bogatą, otrzymuje 25 czasopism; prócz tego przy towarzystwie założoną została kasa pożyczkowa. Połowę mniej więcej członków „Polonii“ stanowią kobiety. Fakt to bardzo dodatni i godzien zaznaczenia.

Stowarzyszenia młodzieży polskiej w Zurichu i Genewie nie utrzymywały między sobą żadnych stosunków do roku 1887. W tym czasie powzięto myśl zbliżenia się: w grudniu tegoż roku odbył się w Genewie zjazd obu towarzystw. Na zjeździe nastąpiło zjednoczenie towarzystw „Polonii“ w Genewie, oraz „Towarzystwa Mł. Pol.“ w Zurichu. Na pierwszem walnem zgromadzeniu obu zjednoczonych towarzystw uchwalono statut „Zjednoczenia,“ który w streszczeniu przytaczam: „Zjednoczenie“ ma na celu wzmocnienie jedności w życiu młodzieży oraz ułatwienie towarzystwom poszczególnym ich zadań. W skład „Zjednoczenia“ wchodzą stowarzyszenia młodzieży polskiej, które solidaryzując się z jego celami oświadczą się z chęcią przystąpienia do niego i zostaną przyjęte przez wszystkie zjednoczone towarzystwa. Zjednoczenie osiąga zaznaczone wyżej cele przez: wzajemne udzielanie sobie odczytów; wzajemne zasilanie bibliotek; bezpłatne wypożyczanie wzajemne książek; doroczne zjazdy całych towarzystw lub przynajmniej ich przedstawicieli, mające na celu poznawanie wzajemne przekonań i przedsiębranie prac wspólnych. Prowadzenie spraw Zjednoczenia porucza się kolejno zarządom towarzystw na rok jeden. Dodać należy, że zjednoczone towarzystwa dążąc do zaznaczonego w statucie celu, wprowadzają w czyn wszystkie środki tamże podane. Tak, na jednem z następnych posiedzeń podczas tegoż zjazdu, zjednoczone towarzystwa postanowiły wydać wspólnymi siłami broszurę dla ludu pod tytułem: „Powstanie 1863 roku, jego stosunek do ludu, uwłaszczenie, oraz praktyczne wnioski.“ Na broszurę tę został ogłoszony konkurs. Dalej, bezpłatne wypożyczanie książek, udzielanie sobie wzajemne odczytów, wzajemne zasilanie bibliotek i tym podobne środki ściśle są wypełniane. Wreszcie zgodnie z ustawą odbył się w grudniu 1888 r. drugi z rzędu zjazd w Zurichu. Oprócz młodzieży polskiej z Genewy i Zurichu przybyli na zjazd studenci kilku wyższych zakładów naukowych w Niemczech; w ogóle obecnych na zjeździe było przesło sto osób.

Na walnem zgromadzeniu zjednoczonych towarzystw zajęto się przedewszystkiem sprawą wydawnictwa broszury, o której wspomniałem. Ponieważ nie nadesłano żadnej pracy na konkurs, przeto postanowiono zamówić takową u kompetentnego autora. Postanowiono dalej wejść w stosunki ze stowarzyszeniami młodzieży polskiej, przebywającej poza granicami Szwajcaryi.***)

Postanowienie to, co do młodzieży polskiej w Paryżu, wprowadzone zostało już w czyn: istniejące tam stowarzyszenie „Spójnia,“ do którego należy przeważna część młodzieży polskiej w Paryżu, przystąpiło do Zjednoczenia. Liczy ono 30 członków; w tej liczbie znaczną część stanowią kobiety. Przystępując do Zjednoczenia, Towarzystwo przybrało zarazem odmienny charakter. Przedtem miało ono na celu jedynie pomoc wzajemną: odczytów nie było, towarzystwo nie posiadało ani biblioteki, ani czytelni; posiedzenia odbywały się raz na miesiąc. Obecnie postanowiono wprowadzić zwyczaj odczytów, założyć bibliotekę, której ofiarowane przez członków książki dały początek; założono czytelnię, która otrzymuje 13 czasopism. W Niemczech, jak wiadomo, nie wolno studentom Polakom tworzyć oficyalnych stowarzyszeń. Należenie zatem do „Zjednoczenia“ jest tam niemożliwe; nie wyklucza to jednak stosunków. Rozpoczęte w tym kierunku zabiegi zapowiadają się pomyślnie. Wspominać tu o tem nie można ze względu na warunki, w jakich się znajdują studenci Polacy w Niemczech.

Obecnie zatem w skład „Zjednoczenia“ wchodzą trzy towarzystwa z Genewy, Zurichu i Paryża.

Zakończę sprawozdanie wyrażeniem wspólnego wszystkim zjednoczonym pragnienia, aby myśl opartego na silnej organizacyi skupienia wszystkich sił naszych, myśl, do urzeczywistnie której dąży „Zjednoczenie,“ znalazła żywy odgłos i poparcie wśród całej młodzieży polskiej. Początek dany!

U. H. T.

Berlin. *Marzec 1889.*

I.

Zjawienie się „Ogniska“ wywoła, spodziewam się, między kształcącą się młodzieżą znaczne ożywienie, jako rezultat przeświadczenia, że w procesie budzenia się z ćwierćwiekowego uśpienia i przygnębienia moralnego, oraz wzmagania się tętna życiowego narodu, młodzież rolę swoją należycie pojmuje. Bardzo pocieszającym objawem jest ta wiara we własne siły, pobudzająca do poważnej pracy nad maruderami ze swego obozu, nawołująca wreszcie do zawiązania stosunków w celu uświadamiania sobie programu działalności.

Wobec inicyatorów zadania, objętego programem pisma Waszego, a mającego na celu dążenie do wzajemnego zbliżania się na wspólnym gruncie pracy narodowej, do szczerego uznania poczuwać się winna głównie ta część akademickiej młodzieży polskiej, która poza obrębem swego kraju i społeczeństwa uczyć się musi.

Wśród obcego, nieprzychylnego jej otoczenia i rozmaitych nieprzyjaznych okoliczności, podwójnie odczuwa ona brak łącznika pomiędzy sobą a potrzebami własnego społeczeństwa i całej masy swych kolegów w kraju. Dla niej egzystencya organu, tej potrzebie zaradzić mającego, jest faktem pierwszorzędnej wagi.

Wiadomo Wam, w jak smutnem położeniu znajdują się akademicy Polacy w Niemczech, a specyalnie

---

***) Na pierwszym zjeździe z 1887 r. zostały wygłoszone następujące odczyty: Obyw. Z. Miłkowski: „Zachowanie się Polaków w spodziewanej wojnie między Austryą i Rosyą“. Kol. L. K.: „Stosunek istniejących lub mogących się wytworzyć partyj rewolucyjnych polskich do takichże partyj rosyjskich.“ Kol. D.: „Sposoby obudzenia w ludzie ruchu polityczno-społecznego.“

Obszerne sprawozdanie ze zjazdu znajduje się w 9 nrze. »Wolnego Polskiego Słowa« z roku 1888 r. Sprawozdanie z drugiego zjazdu tamżo w numerze styczniowym 1889 roku.

w Prusiech. Ta wyjątkowość sprawiła, iż w porównaniu z kolegami swymi z innych zakładów wyższych za granicą, młodzież tutejsza znacznie pozostaje w tyle. Do łączności i spójni wzajemnej w pożyciu koleżeńskiem mało zdradzając ochoty, tem samem do pracy obywatelskiej i społecznej wcale się nie zaprawia. Takie przynajmniej smutne wrażenie odbiera każdy, kto stosunkom w berlińskiej kolonii studenckiej przyjrzeć się miał sposobność. W tę więc stronę przedewszystkiem zwrócić się wam należy z nawoływaniem do wybrnięcia z apatyi, tem smutniejszej że pochłaniającej większość młodzieży akademickiej z zaboru pruskiego.

Przypadkowo znalazłem się w roli pośrednika pomiędzy Wami a kolegami tutejszymi. Spodziewałem się, że niektórzy z kolegów dłużej niż ja w Berlinie przebywający i ze stosunkami obeznani, cokolwiek o nich donieść Wam zechcą. Nasze jednak studenckie powagi literackie, szanując swą godność i stanowisko reporterów pism poznańskich, zwlekają w dopomożeniu Wam. Czekają bowiem pierwiej stamtąd opinii i odpowiedzi na pytanie: „co to za ludzie?“, aby się czasem nie skompromitować stosunkami z pismem Waszem kierunku postępowego. Oprócz ostrożności tego gatunku posiadają koledzy nasi jeszcze silnie rozwinięty partykularyzm i brak zaufania do rodaków z zaborów austryackiego i rosyjskiego. Pierwsi, potulniejsi noszą dość ogólnikową nazwę „oryginałów“, drudzy i w poglądach swych i w mowie nieco radykalniejsi — w czambuł „socyałami“ są zwani, chociażby nawet w niewinności swego ducha do programu „Kraju“ petersburskiego przyznawać się zechcieli. Zaciętości jednak w klasyfikacyi tej nie ma: równouprawnienie wraz z epitetem „sławnego“ lub „kapitalnego bubka“ otrzymuje zarówno oryginał jak i socyał po wylegitywaniu się ze sporego zapasu pieprznych anegdot, które ich więcej bawią, niż wszelkie dysputy treści naukowej lub społecznej. Za drugi warunek do równouprawnienia służyć tylko może spora liczba semestrów, z którymi bardzo skrupulatnie „Volk“ się liczy, a „starszym semestrom“, nieraz cynicznie na chronologią się powołującym, łatwo zaimponować sobie pozwala.

Mówiąc o prywatnem pożyciu kolegów berlińskich, pominąć niepodobna sportu karcianego, z wielkim tu uprawianego zapałem. Żadnych ognisk towarzyskiego życia stworzyć sobie nie umiano, kwitnie więc zabawa szlachetna w najrozmaitszych formach. Zamiast drobnych kółek koleżańskich istnieją tylko kółka stolikowe, przy których wielu z kolegów często noce całe spędza i które niejednego zdolnego człowieka odrywają od poważnego zajęcia. „Klapa“ zastępuje czytelnię i bibliotekę, zastępuje i rodziny polskie, do których młodzież wcale nie uczęszcza. Prawdopodobnie również z braku czasu postarać się nie może o nawiązanie stosunków z Towarzystwami polskimi w Berlinie dla ułatwienia im trudnego zadania: wyrabiania pomiędzy członkami swymi łączności i solidarności w celu zachowania odrębności narodowej. A szkoda, wielka szkoda, gdyż grunt w towarzystwach tych bardzo podatny i plony rokujący. Cóż, kiedy młodzież w odpowiedzi na częste zapraszania do towarzystw, ogranicza się na wysłaniu do nich delegata, któryby tam przy okazyi co „wygarnął“ resp. zablagował, i na tem kwita.

Ale, nie demaskujmy się więcej, zwłaszcza że karnawał już minął. I tego, z czem się wygadałem, wystarczy dla wywołania dysonansu w akordzie panującej tu wzajemnej adoracyi i wypływającego z niej błogiego spokoju, oraz zadowolenia z obecnie istniejącego stanu rzeczy.... Dajcie spokój.... nie budźcie nas!

Dokładna liczba Polaków, uczęszczających do wyższych zakładów naukowych Berlina, na podstawie list urzędowych trudno bardzo dałaby się oznaczyć. Fakultety uniwersyteckie, wydziały politechniki, szkoła weterynaryi i agronomiczna winny wykazać co najmniej cyfrę 120—150 słuchaczów Polaków, z których dwudziestu zaledwie pochodzi z Kongresówki, Galicyi, i Litwy. Resztę stanowią rodacy z Księstwa Poznańskiego i Prus Zachodnich. „Prusacy“, szykanowani z powodu braków językowych przez Poznańczyków (kocioł garnkowi przyganiał!), zupełnie prawie od towarzystwa młodzieży polskiej się usunęli, lecz to dawniejsze podobno winy. Ogół młodzieży przeważnie zamożny i pod względem materyalnym znajduje się — z wyjątkiem kolegów w Halli — przeciętnie w lepszych warunkach niż młodzież w innych ogniskach uniwersyteckich w Niemczech.

Ci z kolegów, którzy dochody swoje na utrzymanie za ograniczone uważają, z łatwością, bo bez wykazania nawet swej niezamożności, otrzymują zapomogi bądź od kasy pomocy naukowej imienia Marcinkowskiego (wyłącznie dla młodzieży Księstwa Poznańskiego), bądź też z analogicznej instytucyi dla młodzieży z Prus Zachodnich! Zapomóg dla ułatwienia opłaty taksy egzaminacyjnej, dość wysokiej na uniwersytetach niemieckich, udziela kasa imienia Mielżyńskich. Jednem słowem, pod względem zabezpieczenia bytu matryalnego młodzieży kształcącej się, Zabór pruski znacznie wyprzedził Galicyą i Kongresówkę.

Dr. Franciszek Hirszberg.

(Dokończenie nastąpi).

Ruch w stowarzyszeniach akademickich.*)

Z Czytelni akademickiej.)** W ostatnich czasach uporządkowaliśmy bardzo z dawnych lat zaniedbane finanse, wprowadziliśmy porządną i racyonalną gospodarkę, słowem ugruntuwaliśmy materyalną podstawę naszego towarzystwa. Prócz tego choć w małym rozmiarze i na małą skalę staraliśmy się i staramy wprowadzić w życie to, co tak często w przemówieniach nasi reprezentanci podnoszą. W sprawie szerzenia oświaty ludu, zaznaczyć musimy, że popieramy materyalnie i moralnie nowo założoną Czylelnię ludową w Brzegach, wysyłając tam książki i pisma lub udzielając rad i wskazówek. Dla nowo zawiązanego Kółka rolniczego i Czytelni w Ustroniu ofiarowaliśmy na ręce przewodniczącego ks. Karowskiego 100 tomów dzieł ludowych, wreszcie dla Czytelni i Kółek rolniczych galicyjskich i szląskich zakupiliśmy 160 reprodukcyj obrazu Matejki »Kościuszko po bitwie Racławickiej,« które tymże bezpłatnie przesłać zamierzamy. W Grudniu z. r. urządziliśmy wycieczkę do Oświęcima na wieczorek Mickiewiczowski, chcąc wspólnie święcić to narodowe święto tam, gdzie wpływy i działania germanizacyjne, wskutek bliskiej pruskiej granicy i ustawicznych z Prusami stosunków, tak łatwy przystęp mają. Wobec szerszej publiczności urządziliśmy wieczór Mickiowiczowski. w Czytelni zaś święciliśmy rocznice powstań listopadowego i styczniowego a wreszcie pamięć Krasińskiego. Z działalności naszej w sprawach akademickich zasługuje na wzmiankę podjęta przez nas na nowo

*) W dziale tym pomieszczać będziemy nadsyłane nam sprawozdania ze stowarzyszeń akad. nie przyjmując za nie odpowiedzialności. (P. R.)

**) W ostatniej chwili dowiadujemy się, że na Walnem Zgromadzeniu w dniu 2. kwietnia obecny wydział Czytelni przeważną większością głosów dostał v o t u m n i e u f n o ś c i. Zostawiając tymczasem nadesłane nam sprawozdanie, w najbliższym Numerze omówimy tę sprawę obszerniej. (P. R.)

myśl budowy domu akademickiego. Wybrany z łona Czytelni komitet w porozumieniu z delegatami innych towarzystw akademickich sprawą tą się zajmuje, a choć jeszcze pozytywnych i większych rezultatów nie osiągnął, zawsze jednak przyczynił się do zebrania i pomnożenia funduszów, jako też załatwił przedwstępne kroki do zrealizowania tej pięknej myśli. W tym miesiącu również dokonaliśmy zmiany statutu, narzuconego nam przez senat po rozwiązaniu dawnej Czytelni, który w bardzo wielu wypadkach krępuje nasze działanie i jest jedną z przyczyn nie idealnego stanu obecnego. Odnośny elaborat przedłożyliśmy wyższym instancyom. Czy co wskóramy — przyszłość okaże. Przewodniczącym Czytelni jest obecnie kol. Jachymiak, który w Styczniu b. r. po zrzeczeniu się kol. Michalika, przez Walne zgromadzenie na tę godność wybranym został. Zastępcą jego jest kol. Ortyński, sekretarzem kol. M. S. Grzybowski. Kolega Jachymiak, jako przewodniczący Czytelni, jest zarazem zast. przewodniczącego w komitecie do sprowadzenia zwłok A. Mickiewicza, który powstał i zorganizował się za naszem staraniem a w którym obecnie przewodniczy p. Weigel poseł na sejm. W komitecie tym zasiada obok innych obywateli 5 naszych reprezentantów. Zaznaczyć w końcu musimy, że w »komitecie pięciu« budowy pomnika, zasiada jako reprezentant młodzieży były prezes Czytelni W. L. Jaworski.

Ruch umysłowy i towarzyski przejawia się w kółkach. Poniższe sprawozdania bliższe szczegóły w tym względzie podają:

a) Koło słowiańskie, zawiązane w Maju r. 1887. rozwija się pomyślnie. Zadaniem jego jest budzenie wśród członków poczucia wzajemności słowiańskiej przez zaznajamianie ich z życiem narodów słowiańskich, z ich historyą i literaturą — oraz zbieranie materyałów etnograficznych i historycznych. Liczba członków 117.

Odczyty w bieżącem półroczu były następujące:

1. Literatura rosyjska XVIII wieku, część I.
2. » » » » » II.
3. » „ » » » III.

Kol. Stefan Jacek Dobrowolski.

4. Twardowski w literaturze polskiej i czeskiej, kol. Zygmunt Lezer.
5. Żydzi w polskiej poezyi dramatycznej, kol. Ignacy Suesser.
6. Podole pod względem geograficznym, statystycznym, etnograficznym i społecznym, kol. Michał Rolle.
7. Stefan Kaczała i jego zasługi koło rozwoju narodowego galicyjskich Rusinów, kol. Hilary Ortyński.

Dwa razy tygodniowo odbywają się bezpłatnie lekcje języka rosyjskiego. Kol. Karpowicz wykłada gramatykę, a kol. St. J. Dobrowolski przewodniczy czytaniu i tłomaczeniu Turgeniewa. — Dla innych języków słowiańskich nie zdołał zarząd Koła wyszukać nauczycieli. Biblioteka Koła liczy kilkadziesiąt tomów.

b) Koło filozoficzne ma w tym roku 80 członsów, posiada bibliotekę doborową, liczącą 285 dzieł w 356 tomach, a rozpadającą się na dwa działy: a) treści czysto filozoficznej, b) treści przyrodniczo-matematycznej.

Odczytów w Kole było dwa, a mianowicie: 1. Kol. Landaua: Spinoza i jego filozofia. 2. Kol. Piechoty: »Co w metafizyce Arystotelesa uważać należy za trwały dla filozofii nabytek«. Po odczytach wywiązywała się żywa dyskusya; udział jednak kolegów był, niestety, zwykle bardzo mały.

Kółko literackie, zawiązane dnia 1 Grudnia zeszłego roku, liczy 12 członków. Zgromadzenia odbywają się raz na tydzień. Do dnia 1 Kwietnia odczytano i przedyskutowano następujące prace:

Kol. Dobrowolski Adam: 1) Portret literacki Sewera, 2) Portret literacki Kl. Junoszy.

Kol. Nowicki Franciszek: 1) Wiersz pośw. pam. Mickiewicza, 2) Z kresów krzyżackich, poemat.

Kol. Estreicher Stan.: 1) Domniemana treść dalszych trzech aktów »Konfederatów Barskich«, 2) Najnowsza powieść Kaczkowskiego i jej ocena w warszawskiem »Ateneum«, 3) Nowe poezye (Or-Ot; W. Lieder).

Kol. Rydel Lucyan: 1) Towarzystwo Im. Mickiewicza i nowy tom jego »Pamiętnika«, 2) Wiersz pośw. pam. Mickiewicza, 3) Mściwój, dramat w V aktach. 4) Sonety krakowskie.

Kol. Tetmajer Kaź.: 1) Wiersz pośw. pam. Mickiewicza.

Kol. Leser Zygmunt: 1) O poezyach Jana Kasprowicza.

Kol. Suesser Ignacy: 1) Poezye.

Kol. Waligórski Jan: Wiersz pośw. pam. Mickiewicza, 2) Wiersze satyryczne

Kol. Ehrenberg J. K.: 1) Przekłady z greckich elegitów, 2) Piąta pieśń Piekła (Franceska), 3) O dramacie kol. Rydla »Mściwój.«

Akademiczna Hromada. Wobec coraz to zwiększającej się liczby Rusinów-akademików na naszym Uniwersytecie okazała się konieczna potrzeba stworzenia samodzielnego towarzystwa, któreby skupiając całą młodzież rusińską, stało się prawdziwem ogniskiem ich duchowego i narodowego życia. Młodziutkie to towarzystwo założono w dniu 1 Czerwca 1887 umiało już zebrać w swem łonie młodzież rusińską, a stanąwszy jasno na gruncie szczerze-narodowym — nie zrywając nawiązanych już serdecznych stosunków z młodzieżą polską rozwinęło tyle sił żywotnych, zakreśliło sobie tak szeroki zakres działania, iż wobec znanej ofiarności Rusinów o jego przyszłym rozwoju powątpiewać nie można. Obecnie liczy »Akademiczna Hromada« 62 członków, pomiędzy tymi 16 Polaków. biblioteka jej już w pierwszym zawiązku wykazała do 750 tomów a pomimo niemałej jak na akademickie stosunki wkładki miesięcznej w kwocie 1 złr., strona materyalna nie przedstawia wydziałowi wielkich kłopotów. Ruch umysłowy w Hromadzie bardzo znaczny, a poważna myśl »samokształcenia« obleka się u nas w wspaniałą szatę rzeczywistości.

Na chlubę polskiej młodzieży podnieść należy, że do rozbudzenia się tego życia między nami nie mało przyczynia się jej czynny współudział — nie bryzga tu młodzież polska Rusinom podobnemi hałasami jak „separatyści" nie moralizuje ich na temat śmiesznych i do archeologii niestety jeszcze nie zaliczonych słów: »Gente Ruthenus natione Polonus«, lecz uznając pełnię praw narodowych Rusinów szczerze pragnie zapoznać się z społeczno-narodowym rozwojem swej braci.

Facta loquuntur. O prawdziwości sądu naszego następujący szereg odczytów najlepiej świadczy:

1. Rozbiór pieśni sierocych.
2. Hydrotherapia w świetle najnowszych badań.
3. Gramatyka jako nauka.
4. O wolności woli.
5. O tłumaczeniach z obcych literatur na język rusiński i próba własnego przekładu »Herman i Dorota«.
6. Walka o byt i assocyacya — dwa czynniki biologiczne.
7. Społeczno-narodowy rozwój galicyjskich Rusinów od 48 r. i zasługi ks. Kaczały około tegoż położone.
8. Rozwój poglądów na wiarę u Szewczenki.
9. Istota i uporządkowanie ludowych przysłów.
10. Słów kilka o ruskiej i polskiej inteligencyi.
11. Zarys ewolucyi stanu czwartego.

Nadto co Sobotę urządza Hromada pogadanki literacko-naukowe, przeplatane śpiewem ukraińskich pieśni. Pierwszym i jedynym występem na zewnątrz jest uroczysty wieczór na cześć Tarasa Szewczenki, który zarazem jest inauguracyjnym występem ruskiej młodzieży w Krakowie.

Tow. Wzajemnej pomocy akad. Stan Towarzystwa naszego obecnie jest następujący: Członków liczy Towarzystwo 432. Kapitał żelazny, który wynosił z chwilą objęcia administracyi przez Zarząd obecny 20.233 złr. wzrósł w ciągu czterech miesięcy o 2 216 złr., a mianowicie: pokrycio długu ciążącego na kapitale żelaznym zaciągniętego przez Zarząd poprzedni 1.100 złr. Zakupiona na fundusz chorych przez pp. Profesorów Uniw. akcya banku poznańskiego wart. 600 złr., dodatkowy zwrot gotówki kapit. żelaznych zarządów poprzednich 200 złr. Dar III r. med. na kapitał żelazny 6 złr., $^1/_{10}$ dochodów odkładanych na kapitał żelazny 180 złr. i na nowo otworzony fundusz domu akademickiego dotychczasowe składki 130 złr.

Pożyczek rozdano od początku r. szk. (3-go Grudnia) na 1650 złr., z czego wydział ścisły rozdał 150 złr. podczas feryj świątecznych, resztę zaś wydział obszerny na tygodniowych posiedzeniach.

Ważniejsze pozycye dochodów przedstawiają się:

Wkładki członków 560 złr., zwroty 1200, bal 700 ($^7/_{12}$ części) raut 275 ($^3/_4$), 2 odczyty 150, na pokrycie deficytu zebrano 140, członkowie honorowi 30 złr.

Koszta administracyi wynosiły 240 złr.

Ze zniżeń wprowadzonych w życia w połowie stycznia korzystano w następujących stosunkach:

Asygnat zniżonych	na węgle	wybrano na	$137^1/_2$	złr.
„ „	na wędliny	„ „	83	„
„ „	do mleczarni	„ „	108	„
„ „	na naftę	„ „	27	„
„ „	do łazienek w hotelu krakowskim	na	30	„

Recept zniżonych o 50% wydano 183, zniżeń na wody mineralne do p. Rzący i Chmurskiego 12. Recept za darmo wydano 15.

Z dniem 1-go Kwietnia zostają zawieszone aż do jesieni zniżenia na naftę, węgle i wędliny, pozostaną zatem i nadal zniżenia do mleczarni (10% upustu), do łazienek (50%) i aptek (50%). Mają być nadto wprowadzone zniżki obiadowe, jeżeli się dostateczna liczba Kolegów zgłosi, chcących z takowych korzystać.

Biblioteka słuchaczy prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Towarzystwo to, najstarsze ze wszystkich akademickich stowarzyszeń, w ostatnich czasach znacznie się podniosło, zwłaszcza od chwili, w której prof. M. Fierich został mianowanym jego kuratotorem z ramienia Senatu. Dzieł liczy obecnie biblioteka około 2.000, tomów do 2,500. Liczba członków w roku bieżącym nawet dla najskromniejszych wymagań zbyt mała, bo nie przenosi 80, podczas kiedy w roku przeszłym doszła do 150. Obojętność tę dla tak żywotnego stowarzyszenia trzeba przypisać w pierwszej linii wstrętowi do czytania naukowych dzieł, który między słuchaczami prawa coraz szersze przybiera rozmiary: skrypta i notaty wypierają wszystko inne. Ale są i inne przyczyny: lokal naszego stowarzyszenia (Collegium juridicum) jest zbyt odległy od centrum

naukowego życia na Uniwersytecie: opustoszały gmach nie jest nawet znany tym kolegom, którzy po roku 1887 do Krakowa przybyli, w razie potrzeby muszą interesanci »odkrywać« dopiero miejsce pomieszczenia Biblioteki. Prócz tego niesumienność wielu dawniejszych członków pozbawiła stowarzyszenie najbardziej poczytnych podręczników; trzeba im dopiero wytaczać sądowe procesa, inaczej bowiem nie chcą zwrócić książek bezprawnie zatrzymywanych. Zarząd tegoroczny pracuje więc głównie nad zaradzeniem tym palącym potrzebom Towarzystwa; z jednej strony czyni starania w Senacie, aby uzyskać pomieszczenie dogodniejsze, tj. albo w samem Coll. Novum albo w pobliżu (i zdaje się, że sprawa ta niebawem w pomyślny sposób zostanie załatwioną), z drugiej zaś wydrukował listę dłużników (250 nazwisk!) i rozesłał ją po całej Galicyi, dłużnikom zaś znanym z miejsca zamieszkania częścią porozsyłał wezwania o zwrot książek, częścią powytaczał procesy. — Aby ułatwić kolegom naukę prawa rzymskiego, wydano nakładem Biblioteki skrypta do »Historyi prawa rzym.« prof. Zolla, które sprzedaje się członkom po 1 złr. 30 cnt. za egzemplarz. — W roku bieżącym przybyło do Biblioteki około 50 nowych dzieł.

KRONIKA.

Przypomnienie na czasie. Nie wiele już dni dzieli nas od rocznicy śmierci ś. p. Profesora Wróblewskiego. Rok temu okazaliśmy czynem i słowem, że odczuliśmy i zrozumieli doniosłość straty, jaką poniosły nauka i społeczeństwo nasze. By dać trwalszy wyraz uczuciom naszym, postanowiliśmy wtedy uczcić pamięć Jego umieszczeniem tablicy pamiątkowej w miejscu stosownem. Kilku kolegów zajęło się chętnie i gorliwie gromadzeniem potrzebnych na to funduszów i w pierwszych zaraz tygodniach znalazło się kilkadziesiąt Złr. Niestety, zapał ostygł zbyt rychło! O ile wiemy, kwota zebrana do lipca roku zeszłego, a znajdująca się obecnie pod łaskawą opieką Profesora Witkowskiego nie powiększyła się, chyba o procent narosły w Kasie Oszczędności. — Zwracamy się tedy do owych kolegów, którzy składkami się zajmowali z gorącą prośbą: Nie dajcie upaść myśli szlachetnej! niechaj niechętni nam nie zyskują dowodu na twierdzenie, żeśmy dorośli zaledwie do porywów, że zapał nasz, to pożar słomy. Ponówcie starania o gromadzenie funduszów, a nie wątpimy, że ogół społeczeństwa akademickiego nie będzie wam utrudniał niełatwego — przyznajemy — zadania. Chcąc kolegom ułatwić składanie datków na cel tak piękny, przyjmuje i redakcya *„Ogniska“* wszelkie, chociażby najdrobniejsze ofiary: wszak z drobnych cegiełek wznoszą się gmachy!

Odczyty. Na dochód Towarzystwa Wzajemnej Pomocy zapowiedziane są następujące odczyty: 31. marca. Prof. Rosenblatta: O czarownicach w Polsce. 7 kwietnia. Maryana Gawalewicza: O słowiku ukraińskim. 10 kwietnia. Henryka Sienkiewicza: Wspomnienia z podróży po Hiszpanii. Około 12 kwietnia ma przybyć sławny podróżnik książę Dr. Zabiełło z Litwy i wygłosić dwa odczyty na temat swych podróży po Egipcie i Peru.

Komisya informacyjna (lekcyjna) Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego (Collegium novum, sala II. codziennie od 2—3). poleca z grona Uczniów Uniwersytetu uzdolnionych korepetytorów, guwernerów, pedagogów i kierowników w wychowaniu dzieci tak w miejscu jak i na prowincyą — nadto dyurnistów, dependentów, pisarzy, wogóle ludzi do wszelkich zajęć intellektualnych. Za kwalifikacyą poleconych osób ręczy się. Informacyj i wyjaśnień udziela się bezinteresownie.

Časopis českého studenstva. Pod tym tytułem zacznie wychodzić w Pradze czeskie czasopismo akademickie. Pierwszy numer ukazać się ma z początkiem maja b. r. Kolegom z nad Weltawy przesyłamy serdeczne: Na zdar!

Sprawą budowy pomnika dla Adama Mickiewicza zajmuje się »Komitet pięciu,« w skład którego jako nasz reprezentant wchodzi p. Władysław Leopold Jaworski. Interpelujemy go, co się tam dzieje?

Towarzystwo Młodzieży polskiej w Genewie »Polonia« obchodzić będzie dnia 18. kwietnia uroczystym wieczorkiem rocznicę powstania Kościuszkowskiego.

Wieczorek poświęcony pamięci J. I. Kraszewskiego, urządzony staraniem młodzieży odbył się w Piątek dnia 15 Marca w sali teatralnej. Program wypełniły produkcye muzykalno-wokalne, wykonane przeważnie przez akademików. Nadto wygłosił ak. D. okolicznościowy wiersz studenta filozofii Kazimierza Tetmajera; amatorzy zaś odegrali jednoaktówkę Kraszewskiego »Kosa i kamień«. Wieczorek ten zgromadził publiczność złożoną przeważnie z młodzieży uczącej się. »Patryotyczne« stanowisko ciała profesorskiego reprezentowało dwóch wydelegowanych zapewne ad hoc profesorów. »Patryotyczne» krakowskie mieszczaństwo nie zdobyło się nawet na delegacyą. Czem wytłómaczyć tę nieobecność? Zdaje się, że »patryotyczne« mieszczaństwo wydatek na wstęp wolało zużytkować praktyczniej na mięsną kolacyą po handelkach ze względu na piątkową obserwacyą postu w ogniskach domowych.

Nieproszeni goście. Pan Załęski (Soc. Jes.) tak samo jak w latach poprzednich ogłosił i w tym roku konferencye rekolekcyjne dla młodzieży uniwersyteckiej i zaprosił na nie wszystkich studentów zapisanych w kwesturze jako »katolicy.« Licznie w kościele zgromadzona bogobojna publiczność zauważyła zupełny brak zaproszonych przez pana Załęskiego akademików.

Słowo pośmiertne. † Eugeniusz Maryan Majer.

Przykry obowiązek spełnić nam wypada. Śmierć wydarła z naszego grona serdecznego kolegę, skrzętnego i sumiennego pracownika na niwie obywatelskiej pracy akademickiej — pełnego talentu poetę, umiejącego siłą swej myśli rozbudzać duchowe życie wśród naszej młodzieży. Duszą i ciałem przylgnął ś. p. Eugeniusz do »Czytelni akademickiej« a pracując tu jak członek Wydziału świecił przykładem wzorowego i pojmującego swe obowiązki członka. Na całe uznanie zasługuje szczęśliwy pomysł kolegów ś. p. Eugeniusza, którzy postanowili wydać zbiorek poezyi po nim pozostałych, pełnych młodzieńczego uczucia i siły. Cześć pamięci szczerego druha! cześć jego pracy, w której był dla wszystkich przykładem! cześć promiennej miłości, jaką ukochał młodzież i jej instytucye.

*Bibliografia prac akademików.**)

Breiter Ernest. Władysław X. Opolski, zarys bibliograficzny. Lwów. 1889.

Drobner Herman. Dzieje literatury polskiej. Kraków. 1889.

Gorzycki Kaźmierz. Połączenie Rusi Czerwonej z Polską przez Kaźmierza Wielkiego. Lwów. 1889.

Suesser Ignacy. Żydzi w świetle polskiej poezyi dramatycznej. (Ojczyzna Nr. 1—4) Lwów. 1889.

Wiśniowski Tadeusz. Wiadomość o Krzemieniach jurajskich okolicy Krakowa (odbitka z »Kosmosu« Rocznik XIII. zesz. V-VI.)

Tenże. Beitrag zur Kenntniss der Mikrofauna aus den oberjurassischen Feuersteinkohlen der Umgegend von Krakau (Jahrbuch der k. k. geol. Reichsanstalt 1888. 38. Band 8. Heft).

Odpowiedzi redakcyi.

Kol. M. R. Na zapytanie Wasze odpowiadamy, że pan Władysław Leopold Jaworski nie jest członkiem Redakcyi, i że w tym numerze nie zamieszczamy żadnej z prac jego pióra.

Kol S. B. Tłómaczenia kolegi nie nadają się do »Ogniska.«

*) Koledzy, ogłaszający drukiem swe prace, zechcą zawiadamiać o nich redakcyą »Ogniska« celem zanotowania ich w powyższej rubryce, ci zaś z kolegów jakoteż pp. księgarze i autorowie, którzy sobie życzą obszerniejszych recenzyj — raczą nadsyłać nam egzemplarze swego pisma. (P. R.)

TREŚĆ NUMERU PIERWSZEGO: Zamiast programu, od redakcyi. — Sprawy młodzieży: Krakowska młodzież akademicka, przez W. S.; Wady młodzieży akademickiej, przez Dra Felixa Konecznego. — Rozprawy naukowe: Teorya ewolucyi i paleontologia, przez Tadeusza Wiśniowskiego. — Dział literacki: Cienie, wiersz Kaź. Przerwy-Tetmajera; Czarny okręt, sonet F. H. Nowickiego; Za aniołem stróżem, obrazek Wilhelma Feldmana; W ognisku, od redakcyi. — Sprawozdania i krytyki: Władysław X. Opolski, przez E. Breitera, ocenił K. J. Gorzycki; Ściśliwość wodoru, praca ś. p. prof. Wróblewskiego, ocenił Z.; Poezye Jana Kasprowicza ocenił W. Feldman. — Korespondencye: Z Krakowa; Ze Lwowa (o wiecu akademickim) przez Budzynowskiego; Ze Lwowa (o politechnice) przez Alex. Krügera; Z Warszawy; Z Genewy; Z Berlina, przez Dra Fr. Hirszberga. — Ruch w stowarzyszeniach akademickich. — Kronika. — Bibliografia prac akademików. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca *Kaźmierz Tetmajer*. Druk W. Korneckiego w Krakowie.